

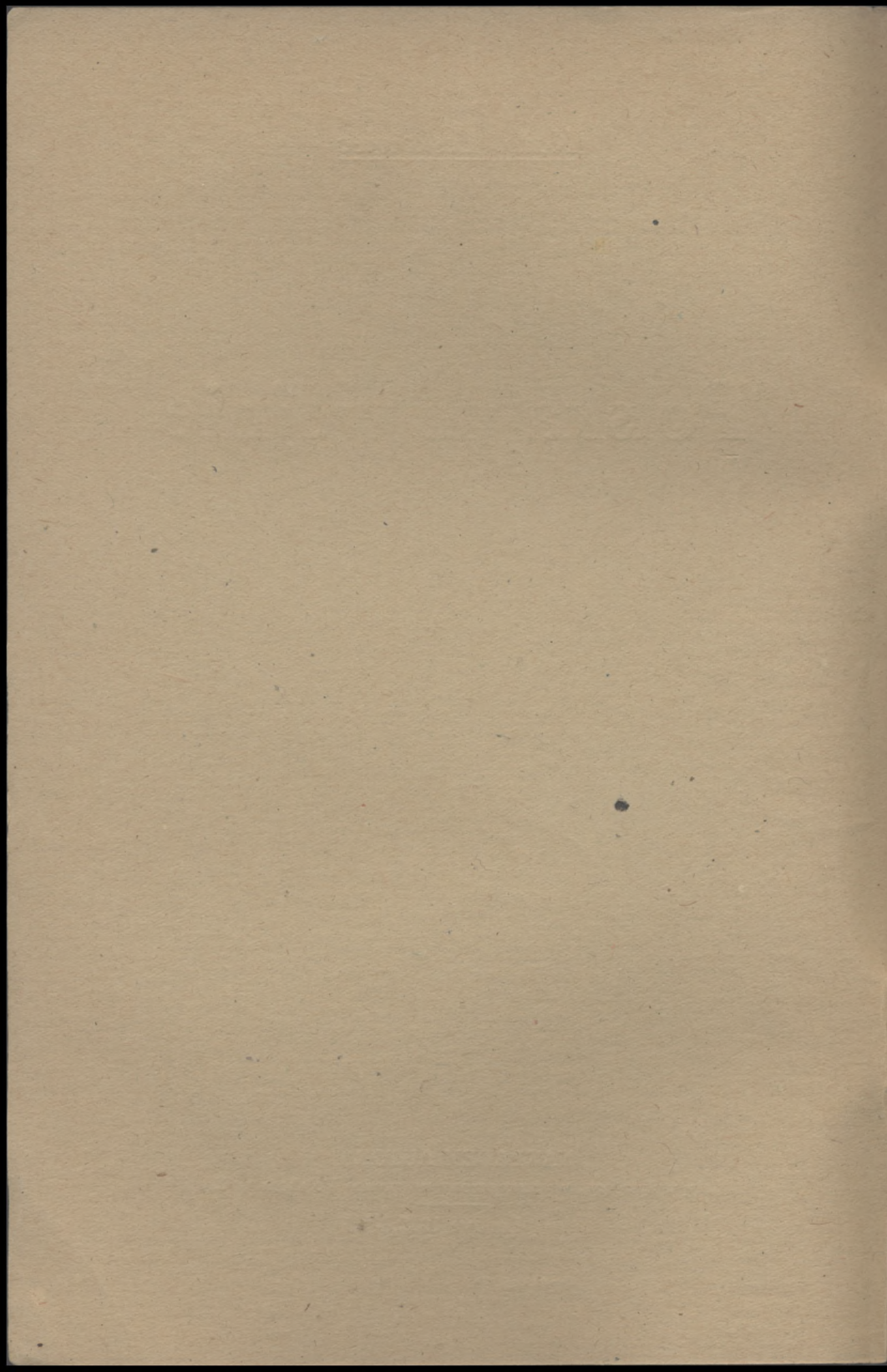
Karol Leskowiec

Polska po wojnie

NAKŁADEM AUTORA

Cały wpływ brutto przeznaczony na pomoc Polakom w Rosji

Londyn 1942.



Karol Laskowicz

Polska po wojnie

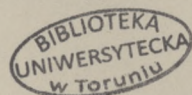
Tegoż autora :

- KU FEDERACJI Z
CZECHOSŁOWACJĄ Londyn 1941. Cena 8d.
- LITWA A POLSKA Londyn 1941. Cena 8d.

AB

1380475

Printed by
Geo. Barber & Son Ltd., 23-25 Funnival Street, London, E.C.4.



Przedmowa

W toku obecnej wojny przeżyliśmy tyle zdumiewających niespodzianek, iż naogół bardzo zmalała ochota do prorokowania, co po wojnie będzie, a czego nie będzie. Ale chociaż wszelkie przewidywania są rzeczą ryzykowną, nie można się od nich całkowicie uchylać.

Prawda, że wojna potoczyła się zupełnie inaczej niż przewidywaliśmy np. w zimie 1939/40r. Ale na bieg tej wojny olbrzymi wpływ wywarł jeden człowiek, Adolf Hitler, którego chorobliwe ambicje i wybujała fantazja powodowały nagle zmiany sytuacji politycznej i wojennej. On to niespodziewanie zrywał pakt, zniemacka napadał na tych, którzy mu pomagali, stwarzał błyskawicznie nowe fronty walki, rozbijał państwa i tworzył nowe "niepodległe" kraje. Po tej wojnie już chyba żaden człowiek takiej władzy i takiej potęgi nie osiągnie. Do głosu dojdą masy. A chociaż nastroje mas również ulegają zmianom, to jednak łatwiej je zauważyć i wywnioskować, jakie skutki spowodują. To, co nazywamy charakterem narodowym, ulega przemianom bardzo powolnym i bardzo nieznacznym. Dlatego też znając historię i psychologię narodów, możemy przewidywać, jakie będą ich dążenia, w jaki sposób oddziaływać będą ich wady i zalety.

Ale gdyby nawet miały zawieść wszelkie przewidywania, należy przynajmniej sformułować, co być powinno. Rzecz jasna, że rozważania na ten temat byłyby bardziej jasne i przekonujące, gdyby zostały poparte śmiałą i otwartą krytyką wszystkich błędów i przewinień. Trzeba się jednak hamować. Świat jeszcze tak mało wie o nas, tylu mamy niechętnych, iż surowa, ostra krytyka, choćby zupełnie uzasadniona, może sprawie polskiej zaszkodzić. Są tacy, co w wydawnictwach polskich szukają tylko tego, co nas Polaków, może poniżyć lub ośmieszyć. To też lepiej odłożyć na

później niejedno, co możnaby powiedzieć o błędach polityki polskiej przed wrześniem 1939 r. Nie czas też jeszcze na niczym nieskrępowaną dyskusję o działalności emigracji polskiej w latach 1939/42.

Hamując się w krytyce, nie można z drugiej strony przesadzać w pochwałach. Byłoby to niebezpieczne tymbardziej, że są na emigracji tacy, którzy — świadomie albo mimowoli — schlebiają. Wychwalają ponad miarę albo cały naród polski albo jego poszczególne części albo — to zdarza się rzadziej — niektórych ludzi. Wychwalają i są pewni poklasku. Nic dziwnego. Zawsze tak było, że tłum wolał słuchać demagogów typu Kleona niż kaznodziejów w rodzaju Skargi. Kogóż jednak powinien sobie obracać za wzór skromny publicysta polski? Czyż można wątpić, że wielki kaznodzieja z epoki Wazów lepiej służył Polsce niż setki pochlebców, którzy kadzili bezkrytycznym tłumom szlacheckim, utwierdzając je w przekonaniu, że wszystko idzie doskonale?

Nasze pokolenie słusznie zalicza Skargę do wielkich Polaków, ale gdyby żył w XX wieku, to miałby może nawet więcej wrogów niż ongiś, za Zygmunta III. Ież to wykroczeń znalazłby w jego kazaniach gorliwy policjant z okresu rządów gen. Składkowskiego! Gdy Skarga powtarza za Jeremiaszem: "Tak was pogruchoce, mówi Pan Bóg, jako ten garniec, którego skorupki spoić się i naprawić nie mogą" — czyż to nie jest szerzenie wieści, mogących wywołać niepokój publiczny? Ostre słowa o niesumiennych, złych dygnitarzach — to obraza władz. Potępienie ucisku chłopów — to podburzanie do walk socjalnych. A gdy Skarga mówi o marnotrawieniu grosza publicznego i o zaniedbanych zamkach, pozbawionych armat, czyż ów gorliwy policjant nie dostrzegłby w tym znów szerzenia niepokojów i naruszenia tajemnicy wojskowej?

Teraz, w czasie wojny, tu, na emigracji, słowa Skargi również byłyby dla wielu kamieniem obrazy. Niektórzy do siebie wzięliby to, co mówi o zbytku i przepychu, przeciwstawiając go nędzy milionów. Inni czuliby, że to o nich mowa, gdy Skarga piętnuje egoizm i brak ofiarności: "A gdy co dla dobra pospolitego uczynić, wnet ciężko i trudno i niemasz." A jakże aktualne byłyby jego karzące uwagi o kłótniach i swarach, o niezgodzie!

Kto wie, może w dzisiejszych czasach nazwanoby Skargę defetystą, który nie przejął się duchem mocarstwowym, a może nawet przedstawicielem t.zw. piątej kolumny.

O tak, niewątpliwie niektórzy z nas, nie mogący się pozbyć pychy i buty, niezdolni do zrobienia szczerego rachunku sumienia, byłiby głęboko dotknięci słowami Skargi. Dopatrzyliby się w nich conajmniej obrazy narodu polskiego, jeśli nie zdrady głównej.

Skarga nie żyje i nie widzę nikogo, kto mógłby się z nim porównywać. Warto jednak czytać jego przestrogi. Warto też przypomnieć sobie, jak się pomściła w r. 1939 skłonność do przyjmowania za prawdę płytkich, popularnych hasłek, nie popartych cyframi, datami, faktami. Podobały się, bo pochlebiali naszej dumie narodowej, ale były szkodliwe.

Ktoby przed r. 1939 wątpił, że jesteśmy do wojny dobrze przygotowani i zdolni do stawiania Niemcom długiego oporu, byłby uznany za szkodnika, osłabiającego nasz zapał i wiarę w zwycięstwo. Byłoby jednak lepiej, gdyby ten optymizm był słabszy, zwłaszcza przed r. 1938. Trzeźwa, krytyczna ocena położenia byłaby może spowodowała wcześniejszą zmianę polityki zagranicznej, a wtedy prawdopodobnie udało się uniknąć katastrofy.

Dziś znowu nieznośna megalomania podnosi głowę. Są ludzie (na szczęście nie tak potężni jakby chcieli), zdaniem których jeśli nie pół, to ćwierć Europy dostanie się pod nasze wpływy. Snują fantastyczne plany, z rozmachem kreślą nowe granice, dzielą państwa, narody, reformują cały świat. Po wojnie powiedzą w Polsce, że gdyby oni byli ministrami, to oczywiście Polska byłaby olbrzymim imperium, ale cóż, taki rząd . . .

Polityczna naiwność, nieuctwo i pycha znowu mogą spowodować groźne następstwa. Dlatego potrzeba, bardzo potrzeba prac pisanych bez lekceważenia historii, geografii, statystyki, a przede wszystkim logiki i etyki. Dobrze jest czasem wylać kubel zimnej wody na rozpalone głowy.

Nie to jest rzeczą najważniejszą, by książka się czytelnikowi podobała, by była lekko i przyjemnie napisana, by nie urażała niczych uczuć. Chodzi o to, by była pożyteczna. Jeśli pobudzi do myślenia, ożywi twórcze dyskusje, zachęci do gruntowniejszych badań, cel niniejszej książki zostanie osiągnięty.

Wychodząc z założenia, że powojenna Polska nie będzie pod żadnym względem odcięta od reszty Europy, należało najpierw zająć się głównymi siłami duchowymi, które kształtować będą nową Europę. Z kolei wypadło omówić niektóre zagadnienia czysto polskie. Uważny czytelnik może dostrzeże pewne luki lub niedomówienia. Dwie tu działały przyczyny. Trudności finansowe oraz konieczność szanowania papieru nakazywały ograniczyć się do spraw najważniejszych i wydać tę pracę w szacie skromnej. Po drugie — nawet przy najpochlebniejszej ocenie obecnej wolności słowa nie byłoby celowym wygłaszanie poglądów, które w dzisiejszych czasach nie znalazłyby żadnego oddźwięku i byłyby przysłowiowym rzucaniem grochu o ścianę. Lepiej czasem milczeć niż wywołać podniecenie tak wielkie, iżby uniemożliwiło czytelnikowi zapamiętanie i przyjęcie innych tez autora.

Nie należy się w tej książce dopatrywać śladów dążeń ani żadnych władz ani stronnictw politycznych. Odzwierciadla ona wyłącznie poglądy autora.

I. RELIGIA.

W ciągu dwóch tysięcy lat siłą duchową, która najbardziej wpłynęła na kształtowanie się losów Europy, było chrześcijaństwo. W naszych jednak czasach oddziaływanie religii na życie publiczne bardzo osłabło. Po wielkich wojnach, a raczej po wielkich katastrofach, następuje czasem renesans religijny. Teraz więc słyszymy liczne przepowiednie, że nowa Europa będzie bardziej chrześcijańską i że katolicyzm będzie źródłem duchowego odrodzenia świata. Oby tak się stało! Ale czy tak będzie?

Przeciwno optymizmowi przemawia bardzo ważna okoliczność, że w ciągu ostatnich stu lat bardzo głęboko zakorzeniły się zupełnie niechrześcijańskie poglądy na cel i sens życia ludzkiego. Ogromna jest liczba Europejczyków, którzy chcą użyć życia, jeśli nie za wszelką cenę, to w każdym razie z zupełnym pominięciem pytania, co będzie po śmierci. A chociaż katolicyzm najzupełniej uznaje godziwość dążenia do szczęścia doczesnego, to jednak — ucząc o życiu pozagrobowym — każe nie przerażać się trudami pracy, cierpieniami, nieszczęściami, wzywa do poświęceń i wyrzeczeń się, obiecując nagrodę wieczną. Otóż ofiary, poświęcenie, dobrowolne wyrzeczenie się jakichkolwiek przyjemności ziemskich — to nie są hasła popularne. Człowiek dzisiejszy coraz mniej chce słyszeć o cierpieniach i trudach, coraz łagodniej chce być sądzony, coraz lżejsze pragnie mieć wobec Kościoła obowiązki. Jest więc rzeczą możliwą, że nadal znajdować będą poklask i posłuch rozmaici twórcy doktryn, obiecujący życie łatwiejsze i przyjemniejsze, podczas gdy Kościół ustępstw czynić nie może, raczej przeciwnie — dążyć musi do zwiększenia udziału jednostki w życiu religijnym i wypełnianiu misji Kościoła. Co do społeczeństwa samego, to przyszłość jego przedstawiałaby się ponuro, gdyby obowiązywała zasada, że bezwarunkowo każdy wysiłek musi być hojnie wynagrodzony orderami, emeryturami i odszkodowaniami. Gdzież jest kraj tak bogaty, by mógł to uczynić?

Na wojnie ludzie uczą się kraść, mordować, oszukiwać. Zazwyczaj są też systematycznie karmieni hasłami zemsty i nienawiści. To oczywiście również nie sprzyja rozkwitowi uczuć religijnych.

Z drugiej strony jednak są podstawy do umiarkowanego

optymizmu. A więc w pierwszej linii nowe pojęcia i wnioski, do których dochodzi nauka. W XIX wieku był okres, kiedy wyznawcy materializmu byli pewni, że zdołają wyjaśnić wszelkie zagadki. Niektórym wszystko już wydawało się całkiem proste i jasne, od powstania świata z mgławicy aż do zjawienia się człowieka na ziemi. Nowsze badania obaliły różne hipotezy i zmusiły do zrewidowania wielu teoryj. Coprawda materialści i teraz nie tracą nadziei, że zdołają wszystko wyjaśnić bez uciekania się do idei Boga, ale naogół przedstawiciele wiedzy występują dziś z większą skromnością niż pół wieku temu. Oświadczają, że nauka nie może odpowiedzieć na niektóre pytania względnie stwierdzają, że bez przyjęcia, iż Bóg istnieje, nie da się wytłumaczyć powstania i rozwoju świata. Dociekania nad budową atomu i wszechświata, nowe poglądy na światło, energię, materię — to wszystko przeczy dawnym, płytkim teoryjkom o powstaniu naszej planety. Odaść więc powinien tak częsty dawniej — w kołach półinteligentów — zarzut, że nauka wyklucza wiarę. Co więcej, oczekiwaćby należało, że człowiek, przyjmujący nowe teorie naukowe, nie będzie atakował także tych najtrudniejszych prawd wiary, o których powiada katechizm, że ich ani wyobrazić sobie ani pojąć nie możemy. Np. jeśli nam, przyzwyczajonym widzieć i wyobrażać sobie wszystko w trzech wymiarach, powiedzą uczeni, że może być wymiarów więcej, że w niewidzialnym atomie mogą się mieścić siły tak potężne, że ich zrozumieć nie możemy, że właściwości materii przeczą temu wszystkim, co normalnie wzrokiem czy dotykiem stwierdzamy, to dłaczegoż miałyby się twierdzić, że dogmaty chrześcijańskie są trudniejsze i nie dadzą się pogodzić z rozumem?

A więc ataki na chrześcijaństwo z tej strony powinnyby ustać. Trzeba wszakże wziąć pod uwagę, że najczęstszym powodem odpadania od chrześcijaństwa nie były bynajmniej dociekania z zakresu filozofii czy fizyki. U bardzo wielu wrogów chrześcijaństwa wchodzi w grę swoisty antropomorfizm. Jeśli przyjmują istnienie Boga, to — idąc bezwiednie za własnymi dążeniami, pojęciami, czy upodobaniami — wyobrażają Go sobie zupełnie inaczej niż nauczą Ewangelie i w rezultacie, pozostając deistami, odrzucają chrześcijaństwo, przyczem bardzo często pierwiej niż dogmatykę, odrzucają etykę. Ona jest im najbardziej niewygodna, jej nakazy i zakazy, jej sankcje.

Tu jednak znów wchodzi w grę bardzo ważne przemiany i fakty, które przyniosły dwa ostatnie dziesięciolecia. Jeśli niewygodne są obowiązki, jakie nakłada katolicyzm, to cóż powiedzieć o ciężarach, jakie swym wyznawcom narzuca totalizm? Czyż nie zmusza on jednostek do nieustannej pracy i cierpień, czy nie szafuje życiem jednostek, czy pozostawia wolność myśli, słowa, działania? Czy "niewola duchowa," w jakiej rzekomo Kościół trzyma swe owieczki, nie jest rajem swobody w porównaniu z hitlerowską Rzeszą lub bolszewicką Rosją? Czyż obywatel (a raczej poddany) państw totalnych nie jest zmuszany do poniżającego kultu krwawych półbogów?

Różnica rzuca się w oczy. Nie można jej było nie dostrzec. To też w wielu środowiskach masonerii, która w ubiegłym wieku wojowała z Kościołem w imię wolności, postępu, złagodzonego lub nawet wstrzymanego walkę z Kościołem. Niedorzeczne jest twierdzenie (wypowiadane czasem przez hitlerowców), jakoby został zawarty jakiś tajny pakt jezuicko-żydowsko-masoński celem zdławienia "odrodzonych" Niemiec. Prawdą jest natomiast, że niektóre grupy antychrześcijańskie spostrzegły niecelowość walki z Kościołem, skoro jest on potężną skałą, o którą rozbić się mogą złowrogie fale barbarzyńskiego totalizmu, niosące niewolę i zdziwienie. Stąd to oryginalne zjawisko, jakim jest cytowanie oświadczeń Papieża lub listów biskupów przez dzienniki, słynne ongiś z walki przeciw Kościołowi. Rzecz jasna, tego rodzaju zawieszenie broni nie oznacza trwałego pokoju. Gdy zniknie niebezpieczeństwo totalizmu i rasizmu, najprawdopodobniej walka z Kościołem znów przybierze na sile. Bądź co bądź jednak wydaje się, że przynajmniej przez kilkanaście lat będzie trwać świadomość, iż nauka Kościoła i działalność kleru (nie całego co prawda) były poważną tamą przeciwko zalewowi doktryn i form ustrojowych, które tyle nieszczęść przyniosły Europie. Pozostanie nauka na przyszłość, że zwalczanie etyki chrześcijańskiej i autorytetu Kościoła może przynieść całkiem nieprzewidziane owoce.

Ale także współczesne plany względnie eksperymenty gospodarczo-społeczne zmuszają niektórych wrogów Kościoła do zmiany conajmniej taktyki. Jeśli np. chodzi o loże masońskie, to w bardzo wielu wypadkach były to zespoły ludzi bogatych, związanych bezwzględną solidarnością, dzięki której różne miernoty dochodziły do państwowego "żłobu" i łapczywie, a szybko powiększały majątek. Czasem stosowano metody wręcz kryminalne, jak to wykazała np. afera Stawiskiego we Francji. Otóż ci bogacze oczywiście pragnęli zmiany dawnego ustroju gospodarczego, a przynajmniej spowodowania zamętu i niepewności, bo wtedy spekulanci i aferzyści najłatwiej robią majątki. Nie uśmiechało się im natomiast wprowadzenie ustroju komunistycznego, bo byłby on wyrokiem śmierci na t.zw. burżuazję, która właśnie w kołach masońskich była bardzo silnie reprezentowana. Komuniści też spostrzegli, że ich cele nie pokrywają się z celami masonerii. To też współdziałanie w zakresie zwalczania religii nie trwało długo. Komintern zdecydował się tworzyć proletariacką międzynarodówkę bezbożniczą. Zdaniem komunistów loże "burżuazyjne" nie walczyły z chrześcijaństwem z należytą energią, nie dbały o przekształcenie bezbożnictwa w ruch masowy, a wreszcie broniły ustroju liberalno-kapitalistycznego.

Tak więc i z tego względu mogły powstać w sferach masonerii wątpliwości, czy wskazana jest ostra walka z Kościołem tymbardziej, że wśród jednostek myślących i nie pozbawionych skrupułów moralnych pewne rozczarowanie wywołały także wyniki propagandy t.zw. etyki świeckiej.

Wreszcie bankructwo eksperymentów komunistycznych powinno,

otróżwiając tych wszystkich, co w Rosji chcieli szukać wzorów, przyczynić się do osłabienia walki z chrześcijaństwem ze strony tych, którzy tę walkę prowadzili głównie w imię swych planów gospodarczo-społecznych.

Ale to wszystko jest dopiero jedna strona zagadnienia. Ważne jest, ilu i jak zaciętych wrogów będzie miał Kościół, ale więcej zależy od tego, co katolicyzm da powojennemu światu, na jakie punkty swego programu położy największy nacisk, w jakim stopniu przedstawiciele Kościoła w poszczególnych krajach będą wprowadzać w czyn to, co głoszą w słowach. Jak we wszystkich epokach, tak i w najbliższej duchowieństwo odegra dużą rolę. Duchowieństwo należycie wykształcone, a przytem ofiarne, gorliwe, poświęcające się dla dobra wiernych, walczące o urzeczywistnienie zasad sprawiedliwości i miłości bliźniego, duchowieństwo takie będzie pięknym wzorem i dużo zdziała dobrego.

Obecnie świeccy oczekują od duchowieństwa po wojnie przede wszystkim właściwego ustosunkowania się do zagadnień wewnątrz każdego narodu, do reform społecznych, do przesunięć, jakie powinny nastąpić między poszczególnymi warstwami społeczeństwa. Ale być może, że ważniejsze i pilniejsze będą zadania duchowieństwa w dziedzinie nie wewnętrznych, lecz zewnętrznych problemów każdego narodu, to znaczy stosunków między państwami i narodami.

Stanie też przed nami w Polsce znowu stare pytanie: w jaki sposób ma katolicyzm wpływać na życie polityczne kraju?

Za pontyfikatu Benedykta XV (1914-22), po zakończeniu poprzedniej wojny powstawały w różnych krajach, względnie kontynuowały swą działalność katolickie stronnictwa. Za pontyfikatu Piusa XI (1922-39) powstała i rozwijała się wszędzie Akcja Katolicka. Jej cele i zakres działania były bardzo rozległe. Jeśli chodzi o odcinek polityczny, to naogół Akcja Katolicka powodowała raczej wycofywanie się jednostek z życia politycznego. Występowali ze stronnictw czołowi przedstawiciele Akcji Katolickiej, a i pomniejsi działacze raczej zmniejszali swój udział w życiu politycznym, wychodząc z założenia, że jeśli wzniosłe hasła Akcji Katolickiej zakorzenią się w masach, to odpadną niebezpieczeństwa, grożące z terenu politycznego. Być może, że po kilkunastu latach jest jeszcze za wczesnie na wydawanie sądu o wpływie Akcji Katolickiej na życie polityczne, bo jeszcze nie ustaliły się jej metody, nie wykształciły zastępy pracowników. Bądź co bądź jednak w czwartym dziesięcioleciu naszego stulecia wpływy katolickie na polu politycznym raczej malały.

Weźmy np. Niemcy. Czy Akcja Katolicka bardziej energicznie i z większym powodzeniem zwalczała hitleryzm niż poprzednio partia centrowców? Stawiając to pytanie nie twierdzę, że centrum byłoby mogło istnieć legalnie jeszcze i po r. 1934. Chodzi o to, czy należało żałować, że istnieć przestało.

Istnieje oczywiście zawsze wielkie niebezpieczeństwo, że jakies stronnictwo katolickie, prowadzone przez ludzi małych i ciasnych,

nieudolnych i nie dających dobrego przykładu, wyrządzi więcej szkody niż pożytku, jeśli będzie się mienić jedynym obrońcą interesów Kościoła. Bardzo trudnym zagadnieniem jest także udział duchownych w parlamencie lub rządzie, bo przeciwnicy danego księdza-polityka mogą swą uzasadnioną, czy też nieuzasadnioną niechęć przenieść łatwo na cały Kościół. Są jeszcze i inne trudności, ale nie są niepokonalne.

Skoro nie zanosi się na to, by życie polityczne Polski po wojnie obracało się dokoła takich zagadnień, jak obniżka lub podwyżka cła o 10%, zniesienie podatku od cukru, czy też od piwa, skoro rozstrzygane będą różne niesłychanie ważne sprawy, związane z ideologią i programem nowej Polski, to jest rzeczą konieczną, by katolicy — ci nie z metryki tylko — starali się wywierać jak najsilniejszy wpływ na życie polityczne i aby byli dobrze zorganizowani. Nie należy jednak spodziewać się, by w kraju, mającym ludność w ogromnej większości katolicką, udało się na stałe złączyć olbrzymią większość katolików w jednym obozie. Stało się to np. w Holandii, ale tam katolicy byli mniejszością i dlatego ich solidarność i zwartość była większa. W Polsce jest inaczej.

Oczywiście stronnictwa, które opierać się będą na fundamentach zasad katolickich, nie powinny twierdzić, że poza nimi dobrych katolików być nie może. Powinny też same występować przeciwko nadużywaniu kościołów do agitacji, gdyby się przypadkiem gdzieś takie tendencje zaznaczały.

Pierwsze lata po wojnie będą dla katolicyzmu w Europie dość trudne. Obecnie bowiem w jednej tylko Francji odbywają się poważniejsze zmiany na korzyść katolicyzmu, ale równocześnie popełniane tam są liczne błędy w polityce zagranicznej i wewnętrznej. Jeśli te błędy nie rzucają cienia na odrodzenie katolicyzmu we Francji, to znaczy jeśli na obozie katolickim nie będzie ciążyła odpowiedzialność za niektóre "reformy," które zapewne zaraz po wojnie runą, to ewolucja Francji może wywrzeć dodatni wpływ na życie wewnętrzne innych narodów. Mówiąc dokładniej — zaprzestanie walki z Kościołem może być i dla innych państw zachętą do zmiany stanowiska wobec katolicyzmu. Francja bowiem pozostanie — mimo klęski — krajem, promieniującym swymi ideami i hasłami.

II. NACJONALIZM.

Główną pobudką działania politycznego może być przynależność do pewnej społeczności religijnej, narodowej, klasowej etc. W ubiegłym i bieżącym stuleciu najpotężniejszą pobudką była przynależność do narodu. Fronty bojowe, jeśli się tak można wyrazić, bardzo często pokrywały się z granicami obszarów narodowych. Katolicy i protestanci, robotnicy i kapitaliści — nieraz walczyli wspólnie w obronie narodu, do którego się zaliczali. A w walkę tę wkładano tyle zapалу, ofiarności, zaciętości co ongiś, paręset lat temu, w wojny religijne. Dawniej starano się zmusić poddanych

do zmiany wyznania, teraz — do zmiany narodowości. Dawniej nie pozwalano mniejszościom na budowę kościołów, teraz na budowę szkół.

Otóż wojny religijne ustały. Czy tak samo będzie z wojnami narodowościowymi? Czy zwycięży wszędzie zasada, że każda jednostka ma prawo swobodnie decydować o swej przynależności narodowej i nie może być przymuszana do zmiany swych uczuć? Takby być powinno. Ale jak nie zanikła działalność misyjna (najzupełniej godziwa), tak też nie ustaną dążenia narodów do powiększania swego stanu liczebnego drogą pokojowej i dobrowolnej asymilacji.

Istnieje niewątpliwie pewien kontrast między nowoczesnymi wynalazkami, ułatwiającymi nam poznawanie całego świata i korzystanie z pracy kulturalnej najrozmaitszych narodów, między gospodarczą współzależnością wszystkich państw a zaciętością walk o małe tereny graniczne. Niektórzy spodziewali się, że z postępem techniki niejako automatycznie znikną małe państwa, a ich miejsce zajmą nowe olbrzymie twory, a więc np. Stany Zjednoczone Europy. Na dowód przytaczano historię państw włoskich lub niemieckich. Republika wenecka długie wieki walczyła z Genuą. Teraz z wzajemnej nienawiści niema ani śladu. Podobnie też w Niemczech Sasi zupełnie zapomnieli o wojnach, które prowadzili z Prusakami.

Jeśli się jednak sądzi, że w podobny sposób przeminą antagonizmy między narodami europejskimi i powstanie jakaś nowa całość, to trzeba nie zapominać o bardzo poważnych przeszkodach. Wenecję i Genuę oraz inne państwka włoskie łączył wspólny język. Ten sam ważny czynnik ogromnie ułatwił zjednoczenie Niemiec. Ponadto tam, gdzie doszło do zjednoczenia mniejszych państw w jeden nowy organizm, zazwyczaj istniały tradycje dawnej jedności, a wreszcie zjednoczenie było przeprowadzane w wielu wypadkach przy użyciu siły zbrojnej. Europa nigdy nie była zjednoczona politycznie, a obecna, przez Hitlera podjęta próba zjednoczenia jej gwałtem, spełznie na niczym i to nie tylko dlatego, że pod tym pozorem dokonywana była brutalna eksploatacja Europy przez Niemców.

Między Stanami Zjednoczonymi Ameryki a jakąś planowaną "Pan-europą" zachodzi ta ważna różnica, że w Stanach Zjednoczonych ludność mówiąca językiem angielskim stanowiła zawsze co najmniej 60, jeśli nie 80% ogółu. W Europie żaden naród nie ma przewagi liczebnej i mieć jej nie będzie.

Tak więc bynajmniej nie zanosz się na to, by w Europie miały zagaść narody, stapiając się w jakąś międzynarodową, kosmopolityczną masę. Ku temu nie idziemy i tak właśnie jest dobrze. Istnienie narodów jest pożyteczne dla rozwoju kultury i cywilizacji. Zatarcie odrębności narodowych zubożyłoby ludzkość duchowo. Naród to zazwyczaj społeczeństwo zwarte, solidarne oraz bardziej zrozumiałe, bardziej przemawiające do wyobraźni szerokich mas, mogące roztoczyć lepszą opiekę i kontrolę nad jednostką i więcej z niej wydobyć szlachetnych uczuć i więcej wysiłku niż jakieś olbrzy-

mie, ponadnarodowe mrowisko, które nie miałyby ani wspólnej tradycji i historii, ani języka, ani może nawet wspólnych dążeń.

Z drugiej, wszakże strony jest rzeczą konieczną obmyślenie środków zaradczych przeciw klęskom, jakie powoduje wybujały, niepohamowany nacjonalizm, przeradzający się w żądę zdobyczą i panowania. Nacjonalizm jest pojmovany rozmaicie. Niektórzy, mówiąc o nacjonalizmie, mają na myśli zupełnie umiarkowany i godziwy patriotyzm. Inni nacjonalizmem nazywają drapieżne próby wydzierania ziemi i niszczenia innych narodów. Podobnie zresztą i słowo imperializm nie wszędzie ma jednakowe znaczenie. Więć mniejsza o to, jak to nazwiemy, ale w każdym razie należy podjąć odpowiednią akcję wychowawczą celem wplenienia nienawiści między narodami. Trzeba zacząć od młodzieży. Słuszne jest żądanie, by we wszystkich krajach przejrano podręczniki szkolne i usunięto z nich wszystko, co ziejie nienawiścią i pogardą dla innych narodów. Należy też usunąć z nauczania to, co podsyca megalomanię i pychę. Z tego oczywiście wcale nie wynika, by nauczyciel miał wyklądać o wszystkich narodach z jednakową obojętnością lub pomijać wojny i krzywdy, wyrządzone przez złych sąsiadów. Historia nie powinna być fałszowana w żadnym kierunku, a więc również nie w tym skrajnie pacyfistycznym.

Jest również rzeczą pożądaną, by niektóre prawa państwa zostały ograniczone na rzecz nowej Ligi Narodów, czy też innego zrzeszenia narodów. Szczególnie pożyteczne byłoby urzeczywistnienie zasady, że wszystkie spory między państwami muszą być sądzone przed międzynarodowym trybunałem rozjemczym, którego decyzje powinny być wykonywane w razie potrzeby przy użyciu siły.

Czy nacjonalizm wyjdzie z tej wojny wzmocniony? Zapewne nie, bo przecież wojna zakończy się — wierzymy w to niezłomnie — katastrofą trzech państw nacjonalistycznych: Niemiec, Włoch i Japonii. Wprawdzie Hitler twierdził nieraz, że jest również socjalistą, ale jest to frazes. Trzecia Rzesza jest w pierwszym rzędzie państwem nawskróś nacjonalistycznym, podobnie jak Włochy i Japonia. Można twierdzić, jak to czynią niektórzy, że jest to nacjonalizm zwyrodniały, spreczny z nacjonalizmem umiarkowanym, opartym na zupełnie innym sposobie myślenia, ale bądź co bądź jest to nacjonalizm. Ten nacjonalizm wywołał wojnę (a raczej parę wojen, które w końcu stopiły się w jedną wielką światową wojnę) i on jest w głównej mierze (choć nie wyłącznie) odpowiedzialny za nieszczęścia, jakie z tego powodu spadły na świat. Klęska państw "osi" będzie więc poważnym ciosem dla tych nacjonalizmów, które albo świadomie czerpały ze źródeł hitleryzmu i faszyzmu albo mimowoli ulegały "czarowi" tych ideologii.

Z drugiej strony jednak nie należy zapominać, że wojna zwykle zaostrza przeciwieństwa między narodami i rozpala uczucia, na których opiera się (lub — jeśli kto woli — których nadużywa) nacjonalizm. Przeżycia wojenne, w szczególności prześladowania

spadające za to tylko, że się należy do danego narodu, owe masowe, barbarzyńskie wysiedlenia, ten podział ludności na panów i podbitych, dokonywany z narodowościowego punktu widzenia a z zupełnym lekceważeniem państwowej przynależności prześladowanych — to wszystko przyspiesza zakończenie wielkiego procesu budzenia się świadomości narodowej. Jednostka spostrzega, że naród jest tworem trwalszym niż państwo i że łączność z narodem to węzeł silniejszy i ważniejszy niż paszport państwowy. Tak się ma rzecz przynajmniej na tych terenach, gdzie odbywają się przesiedlenia i gdzie trwa gnębienie podbitych, a to jest spory kawał świata, bo rozciąga się od greckiej Tracji do Karelii i od Alzacji do Ukrainy.

Na tle tego pogłębienia względnie obudzenia się świadomości narodowej na niektórych obszarach powstaną naturalnie nowe trudności i powikłania. Tymbardziej więc życzyć sobie należy, by nie było sztucznego powiększania liczby języków (np. przez wskrzeszanie języków zamaryłych) i rodmuchiwania nadmiernych ambicji w małych, kilkusettyśięcznych grupach które przez całe stulecia czuły się dobrze w obrębie innych, wielkich państw i narodów.

Proces budzenia się świadomości narodowej dobiega końca i przyjdzie czas, gdy już nie będzie mas biernych i ciemnych, dających się wchłaniać przez narody prężne i zdobywcze. Wtedy wynaradawianie przy pomocy przymusu stanie się bardzo trudne. Postępy oświaty uczynią jednostkę bardziej odporną na wpływy obcej kultury, a wynalazki techniczne umożliwią jej łączenie się w stopniu jeszcze silniejszym niż dotychczas z narodem, do którego chce należeć, choćby jego terytorium było bardzo oddalone. To nie znaczy oczywiście, że nie będzie wówczas asymilacji rozproszonych grup i jednostek.

Warto podkreślić fakt, że w naszych czasach asymilacja odbywa się szybciej niż w ubiegłych stuleciach. Tempo życia jest znacznie szybsze, państwo daleko bardziej sięga w sferę życia prywatnego, kontakt z otoczeniem jest nieporównanie żywszy i częstszy. Więc też stwierdzono, że ludność wiosek, która ongiś przez całe wieki trzymała się mowy przodków, w czasach najnowszych zmienia język w ciągu 30–40 lat. Nic dziwnego. Życie inaczej płynęło wówczas, gdy z otoczonej lasami wioski chłop wyjeżdżał na targ do miasta (a i to niezbyt często), poza tym zaś z obcymi prawie się nie stykał. Inaczej zaś przedstawia się życie chłopu teraz, gdy szkoła, koszary, niektóre przymusowe organizacje, dalej wędrowki za pracą, no i częste wizyty w urzędach — zmuszają do uczenia się i mówienia innym językiem.

Widzieliśmy więc stosunkowo szybkie i duże zmiany granicy językowej na wielu obszarach. Jeszcze przez pewien czas mogą się odbywać względnie duże przesunięcia. Ale jednostka posiadać będzie coraz silniejsze środki obrony przed wynarodowieniem i dzięki nim potrafi się przy pewnym wysiłku obronić przed taką asymilacją, której sobie stanowczo nie życzy. A wtedy chyba ustaną próby wynaradawiania przy pomocy gwałtu, przez odbiera-

nie mniejszościom prawa używania mowy ojczystej w kościele, szkole, sądzie, teatrze.

Gdyby się tak stało, gdyby prawo jednostki do zachowania swej narodowości szanowano tak, jak prawo wyznawania religii (które ongiś nie było uznawane i było powodem wielu wojen religijnych), gdyby w tej dziedzinie miejsce gwałtu i przymusu zajęła godziwa propaganda i szlachetne współzawodnictwo, to odpadłby dość ważny i częsty powód wojen.

Ale narody walczą nietylko o ludzi, ale i o ziemię, której nie przybywa i która wobec tego staje się skarbem coraz cenniejszym. Zatarci na tym tle nie wygasną i niewątpliwie nacjonalizm, wzywający ludzi do walki o ziemię, o terytorialne podstawy narodowego rozwoju, będzie mógł zawsze liczyć na duże powodzenie.

O potędze ruchów nacjonalistycznych decyduje jednak często także ich program gospodarczo-społeczny. Okazało się w naszych czasach, że nacjonalizm potrafi się zdobywać na śmiałe pomysły w dziedzinie socjalnej i przeprowadzać reformy na wielką skalę. Czy są to reformy pozytywne, to oczywiście rzecz sporna. Ale podkreślić należy ten fakt, że ruchy nacjonalistyczne, dawniej uważane przeważnie za konserwatywne, występują nieraz z inicjatywą wielkich przemian na tym polu, na którym dotychczas najbardziej ruchliwym i przedsiębiorczym był socjalizm. To też także i z tego względu nacjonalizm stał się w niektórych krajach bardzo niebezpiecznym przeciwnikiem partyj socjalistycznych.

III. SOCJALIZM.

Jeśli czasem trudno określić, czy jakiś ruch należy nazywać nacjonalistycznym, to znacznie łatwiej określić, co jest, a co nie jest socjalizmem. Istniała przed r. 1914, a również po pierwszej wojnie światowej, socjalistyczna Międzynarodówka, która skupiała większość wyznawców nauki Marksa. Trochę zamętu wywoływał fakt, że również bolszewicka Rosja powoływała się na Marksa i Engelsa, a przymiotnik "socjalistyczny" figuruje również w oficjalnej nazwie Sowietów. Bezwątpienia jednak socjalistyczna Międzynarodówka miała prawo określać, które partie reprezentują prawdziwy socjalizm, a które nie. Przez jakiś czas słowo "socjalizm" było dość popularne. Dowodem fakt, że w kilku krajach pojawiły się partie mniające się socjalistycznymi, chociaż z głównymi ideami autora "Kapitału" zaciekle walczyły. Przykładem jest choćby narodowo-socjalistyczna partia Hitlera.

Dość rozpowszechnione było mniemanie, że świat idzie na lewo i dlatego byli tacy, co nie stawiali socjalizmowi żadnego poważniejszego oporu sądząc, że jest to bezcelowe, bo wcześniej czy później odniesie on całkowite zwycięstwo. Ruchy nacjonalistyczne w niektórych krajach obaliły, a przynajmniej nadwątlily tę wiarę w ów swoisty automatyzm rozwoju ludzkości. Zanim jeszcze socjalizm został zniszczony brutalną siłą (względnie zepchnięty w podziemia) okazało się, że mogą istnieć partie silniej oddziałujące

na masy, bardziej popularne i to także wśród proletariatu, wśród bezrobotnych. Inna rzecz, że w niektórych krajach zawiedzione w swych nadziejach masy mogą znowu zwrócić się częściowo ku socjalizmowi.

Przy werbowaniu zwolenników socjalizm mógł się powoływać — i będzie to mógł czynić także w przyszłości — na ważny fakt, że dzięki jego działalności położenie warstwy robotniczej w ostatnim półwieczu uległo znacznej poprawie. Można oczywiście z całą słusnością mówić szeroko także o szkodach, które spowodował socjalizm, można też twierdzić, że i bez socjalizmu położenie mas robotniczych uległoby znacznej poprawie, lecz nie udowodniono, że stałoby się to w tym samym tempie i w takich samych rozmiarach. Po wojnie poprzedniej w agitacji socjalistycznej duży nacisk kładziono na hasła pacyfistyczne i pod tym względem socjalizm zdecydowanie przeciwstawiał się nacjonalizmowi. Coprawda oba te wielkie prądy były w pewnym stopniu wojownicze — albo powiedzmy inaczej: bojowe — choć każdy w innym kierunku.

Nacjonalizm wzywał do pokoju wewnętrznego, do zgody między poszczególnymi warstwami społeczeństwa, do zaniechania walki klas, a to w tym celu by skonsolidowaną siłą całego narodu zwrócić do walki przeciw innym narodom.

Socjalizm natomiast wzywał do pokoju na zewnątrz, do zgody między narodami, do zaniechania wojen, a to w tym celu, by skonsolidowaną siłą całej klasy robotniczej skierować do walki przeciw innym klasom.

Są to oczywiście niekonsekwencje. Konsekwentni byli tylko ci myśliciele chrześcijańsko-społeczni (niestety, nie stworzyli oni w Europie potężnego i masowego ruchu), którzy głosili hasła zgody i pokoju zarówno na wewnątrz, jak na zewnątrz każdego społeczeństwa. To nie wyklucza oczywiście nieustępliwej obrony prawa w każdym wypadku, a więc z bronią w rękę, gdy chodzi o zbrojną napaść wroga i za pomocą strajków, gdy trzeba łamać zakusy wyzyskiwaczy.

Mimochoodem warto zauważyć, że z szeregów socjalistycznych wyszło sporo ludzi, którzy w dalszym okresie swej działalności dość lubili wojsko i wojny (Mussolini, Millerand, Piłsudski).

Z biegiem lat w socjaliźmie coraz bardziej brał górę kierunek, który rozumiał, że — pomimo wszelkich frazesów o rewolucji, wytopieniu "burżujów," dniu zapłaty etc. — wielkie reformy gospodarczo-społeczne powinny być przeprowadzane na drodze prawnej i to stopniowo, a powinna je poprzedzić odpowiednia akcja wychowawcza. Tu trzeba zauważyć, że szacunku dla prawa może od socjalistów żądać tylko ten, kto sam nie knuje lub nie wychwala "zbawiennych przewrotów" lub "zawieszania" konstytucji, jak się to działo w niektórych krajach.

Niektórzy zarzucali socjalizmowi "skostnienie" ideowe. Nie sądzę, aby to była najslabsza strona tego ruchu. W partiach socjalistycznych naogół zawsze doceniano znaczenie twórczej pracy myślowej i nie brakowało poważnych prac o głównych proble-

mach. Ponadto przeciętna partia socjalistyczna, jak każdy ruch masowy, ulegała stopniowym przemianom na skutek wchłaniania wielkiej ilości świeżych, słabo wykształconych zwolenników. Czasem dostosowywała swą taktykę do haseł, które były najbardziej popularne, nieraz odwlekała wysuwanie żądań, ważnych w świetle socjalistycznej doktryny, ale nie mających szans powodzenia w danym kraju. Były więc dość daleko idące różnice między partiami, należącymi do Międzynarodówki. Byli socjaliści, energicznie walczący o republikę i byli tacy, co wypierali się jakichkolwiek wrogich zamiarów wobec monarchii, byli tacy, co szerzyli ateizm i tacy, co chcieli godzić chrześcijaństwo z socjalizmem, tacy, co rzucali hasła napół komunistyczne i tacy, co w polityce skarbowej czy handlowej trzymali się starych zasad liberalizmu.

Niema autorytetu, któryby mógł skłonić partie socjalistyczne do ustalenia wspólnego programu i taktyki. Nie jest już takim autorytetem spuścizna pisarska Karola Marksa. Wiara, że rozwój świata pójdzie dokładnie takimi drogami, jak on to przewidywał, wiara dość silna jeszcze przed 40 laty, runęła zupełnie.

Po wojnie obecnej trudno będzie odbudować socjalistyczną Międzynarodówkę. Oprócz dawniejszych różnic programowych uwydatnią się różnice między ogromną większością partij socjalistycznych a tymi (np. na północy Europy), które z Hitlerem współpracowały lub przynajmniej odnosiły się doń niemal neutralnie.

Największy wpływ na ewolucję socjalizmu wywrze chyba angielska Labour Party, a więc najbardziej umiarkowany odłam socjalizmu, jeśli wogóle jest to partia socjalistyczna. Po wojnie poprzedniej duże znaczenie miała socjaldemokracja niemiecka. Ale z wojny poprzedniej uratowała one całą swą organizację, prasę, związki zawodowe. Teraz walczy w podziemiach i gdy z nich wyjdzie, minie sporo czasu, nim się ponownie zorganizuje. Ponadto wielu działaczy socjalistycznych z ziem rządzonych przez Hitlera znajduje się w państwach anglosaskich, a więc chyba ulegną wpływom umiarkowanej myśli socjalistycznej.

Do brytyjskiej Labour Party należą także katolicy działacze, za wiedzą i zgodą angielskich kardynałów. Czy na kontynencie rzeczy pozostaną tak, jak były przed wojną? Sądzę, że nie.

Należy rozróżnić szczerze i nieszczerze oświadczenia socjalistów w sprawie ich stosunku do Kościoła. Dawne, wielokrotne oświadczenia, że "socjalizm nie walczy z religią," nie mogły budzić zaufania, skoro w rzeczywistości partie socjalistyczne popierały wszelkie wystąpienia zwrócone przeciw Kościołowi i pomagały ruchowi wolnomyślicielskiemu. Inaczej natomiast należy traktować oświadczenia tych polityków socjalistycznych, którzy podkreślali ogromną wartość etyki chrześcijańskiej. Takie głosy odzywały się w zachodniej Europie, a także w Polsce. Przykładem może być artykuł jednego z przywódców P.P.S. w "Robotniku" (mniej więcej na rok przed wojną) oraz oświadczenia zmarłego na emigracji min. Liebermana.

Sprawa jest oczywiście bardzo trudna. Przy rozpatrywaniu

jej trzeba brać pod uwagę różnice programowe, przyczem pamiętać należy, że Kościół swej nauki zmieniać nie może. Ale w zasadzie katolicycy powinni się życzliwie odnosić do idei nowego ułożenia się stosunków między socjalizmem a katolicyzmem. Nie zyskuje na tym autorytet Kościoła, jeśli mimo ostrzeżeń i zakazów biskupów wielu katolików pozostaje w szeregach organizacji socjalistycznych twierdząc, że w gruncie rzeczy nie dostrzegają tam tej walki z religią, przed jaką przestrzegają pisarze katolicycy wcale nie bezpodstawnie, bo powołując się na wielu teoretyków socjalizmu z ubiegłego wieku.

Czyż jednak nie odnosili się wrogo do religii niektórzy teoretycy nacjonalizmu? Czy działalność niektórych partyj nacjonalistycznych nie była w pewnych okresach jaskrawo sprzeczna z zasadami etyki chrześcijańskiej? Czy obłądna nienawiść do innych ras i narodów, szerzona przez wielu nacjonalistów, powoduje mniejsze spustoszenia moralne niż nienawiść klasowa? A jednak zdarzają się przecież księża, którzy odnoszą się życzliwie i do partii faszystowskiej we Włoszech i narodowosocjalistycznej w Niemczech. Zapewne, ten stan rzeczy można wyjaśnić faktem, że nacjonalizm nigdy nie stworzył międzynarodówki, któraby tak jasno sprecyzowała swe dogmaty i tak wyraźnie rzuciła się w oczy, jak socjalizm. Można też stwierdzić z całą słusnością, że sprzeczne z etyką teorie rasowe i imperialistyczne zostały przez Kościół potępione, że z drugiej strony niektóre ruchy nacjonalistyczne odnoszą się do religii bardzo życzliwie i starają się uzgadniać swą politykę z etyką. Niemniej jednak jest rzeczą jasną, że nie byłby pożądanym i nie mógłby się trwale utrzymywać taki stan rzeczy, iż nie byłoby w politycznej praktyce wyraźnej linii granicznej między katolicyzmem a rozszalałym nacjonalizmem, natomiast z socjalizmem prowadzona byłaby bezwzględna walka bez względu na ewolucję, jaką on przejdzie względnie już przechodzi. Niedosć obserwować tę ewolucję. Lepiej było pomóc socjalistom w szukaniu właściwej platformy.

IV. PACYFIZM.

Po wojnie poprzedniej ogromnie przybrał na sile prąd pacyfistyczny. Należy tę ideologię rozpatrywać odrębnie, gdyż pacyfista może być socjalistą lub nacjonalistą, konserwatystą lub radykałem, wierzącym chrześcijaninem lub wrogiem religii. Nie jest to ruch skoordynowany, nie posiada żadnego ogólnie przyjętego i ustalonego programu. Mimo to był pacyfizm silnym prądem ideowym, wywierającym niemały wpływ na umysłowość Europy po r. 1918. Niema powodu przypuszczać, że nie da się odczuć po wojnie obecnej. Będzie miał oczywiście — podobnie jak obecnie — wielu zaciętych przeciwników i wielu gorących zwolenników.

Słusznie zwalczany jest ten rodzaj pacyfizmu, który zohydza ideę obrony ojczyzny z bronią w rękę, sztydzi z kultu bohaterów wojennych, żąda zniesienia armii i bezpieczeństwo świata chce opierać na papierowych paktach. Takiemu pacyfizmowi trzeba się przeciwstawić. Niestety, właśnie taki pacyfizm miał po r. 191

licznych wyznawców, głównie na Zachodzie. Ale i u nas, w Polsce, trafiali się ludzie, którzy twierdzili, że wszystkie wojny są niesprawiedliwe, że wywołują je fabrykanci, zarabiający na zbrojeniach, złączeni zakulisowymi interesami w potężną "krwawą międzynarodówkę." Twierdzono, że wobec tego jest głupotą gnąć w rowach strzeleckich, że porządny człowiek powinien "różnąć karabinem w bruk ulicy." Tego rodzaju hasła były głoszone również w Niemczech, ale jakoś nie pozostawiły głębszych śladów. W każdym razie hasła hitlerowskie przyjęły się o wiele lepiej, bardziej odpowiadały wojownicznemu duchowi Niemców.

We Francji natomiast propaganda tego skrajnego pacyfizmu zapuściła głębokie korzenie i niewątpliwie przyczyniła się do osłabienia ducha bojowego armii.

W Anglii jest trochę pacyfistów, którzy odmawiają służby w armii twierdząc, że nie pozwala im na to sumienie. Na szczęście stanowią oni tylko ułamek procentu poborowych. Pacyfiści ci nie mają racji, bo Anglia rozpoczęła wojnę w obronie słusznej sprawy, a cele wojny, ogłoszone w Karcie Atlantyckiej, są zgodne z etyką.

Ci krańcowi pacyfiści angielscy przeoczały niesłychanie ważny fakt, że Hitler dąży do narzucenia swej woli całemu światu, że wojna jest "totalna" i nieliczni neutralni po wojnie niewiele będą mieli do powiedzenia, że wreszcie brutalne, barbarzyńskie metody Hitlera sprawiają, iż zalecane dawniej przez pacyfistów sposoby postępowania nie rokują powodzenia. Np. bierny opór może dawał pewne wyniki, jeśli był zwalczany tylko grzywnami pieniężnymi i łagodnymi wyrokami sądowymi. Hitlerowcy jednak stosują w takich razach masowe egzekucje.

A więc — powtórzmy raz jeszcze, ci angielscy "conscientious objectors" nie mają racji. Jest jednak rzeczą jasną, że gdyby jakimś dziwnym sposobem taki ruch szerzył się w Rzeszy, gdyby poborowi niemieccy oświadczały, że sumienie nie pozwala im walczyć z innymi narodami, to takie zjawisko powitalibyśmy z radością jako dowód moralnego postępu ludzkości. Sama bowiem zasada, że to, co jest sprzeczne z etyką, nie może być usprawiedliwione przez to, że tego żąda dowódca lub rząd, jest zupełnie słuszna. Należy pragnąć, by ta zasada znalazła odpowiedni wyraz w powojennych konstytucjach, zwłaszcza w konstytucjach narodów wojowniczych, drapieżnych. Powinno być wyraźnie stwierdzone, że nie może być karanym żołnierz, który odmówi popełnienia zbrodni (np. mordowania kobiet, starców, dzieci) albo wogóle uchyli się od udziału w napadzie na inne państwo, który jego zdaniem jest niesprawiedliwy. Na tej podstawie co prawda ten i ów mógłby czasem odmówić spełnienia niewątpliwego obowiązku, lecz mimo wszystko te niedogodności (dla państwa) będą znikome w porównaniu z obecnym, potwornym stanem rzeczy, kiedy to na rozkaz żadnego krwi dyktatora bezmyślnie albo raczej bojące się myśleć masy rzucają się bez wewnętrznego sprzeciwu na Abisynię, Albanie (wymieniam w alfabetycznym porządku) i wiele, wiele innych krajów.

Cała ta kwestia zahacza o problem wychowania mas. Chodzi o

to, by młode pokolenia wzrastały w szacunku dla prawa i czuły wstręt do kłamstwa i nienawiści, jaką się nieraz szerzy między narodami. Chodzi o to, by na pierwszym miejscu stawiane było prawo — w bardzo szerokim tego słowa znaczeniu. Prawo musi być bronione w razie potrzeby przy użyciu siły, ale prawdziwy, mądry pacyfizm polegać powinien na dążeniu do rozstrzygnięcia sporów bez użycia siły, a więc drogą rozjemstwa, na dążeniu do unikania wojen w słusznym rozumieniu, że wojna nietylko zwyciężonemu, ale zwykle i zwycięsę przynosi duże straty. Chodzi o to, by niechęć do udziału w wojnie nie wypływała z obawy o własne życie, lecz z obawy, by życia nie odebrać innym — niesłusznym i niepotrzebnym. Jednym słowem — rzetelny, pożyteczny pacyfizm musi być oparty na chrześcijaństwie. Jeśli płynie z miłości bliźniego, nie może być zwalczany, bo jest przeciw wypełnieniu nakazu Chrystusa Pana w Kazaniu na Górze: Błogosławieni pokój czyniący. *Beati pacifici.*

Taki właśnie chrześcijański pacyfizm był dość rozpowszechniony w Anglii i dlatego siła moralna tego społeczeństwa była i jest ogromna. Okazało się to szczególnie w 1940 r. podczas wielkich nalotów niemieckich. Imponującą jest w Anglii liczba ludzi, dokonywujących czynów bohaterskich i to bez rozgłosu, skromnie, bez ubiegania się o nagrodę, podziwu godny jest hart szerokich mas, mała jest liczba tchórzów. W Anglii mniej było nienawiści, mniej było nawoływania do krwawej zemsty, mniej butnych pogroźek niż w niektórych innych krajach, a również obecnie, po trzech latach wojny, nieraz ujawniają się skrupuły i obawy, by wojny nie prowadzić zbyt ostrymi metodami. Pomimo takiego nastawienia, a może właśnie dlatego, siła moralna Brytyjczyków jest ogromna i właśnie dlatego Anglia zwycięży.

Jak po wojnie poprzedniej, tak i po obecnej w ruchu pacyfistycznym dyskutowane będzie zagadnienie, czy pokój jest sprawiedliwy. Można się już obecnie spotkać z niebezpieczną tezą, że najlepszym byłby pokój bez zmian terytorialnych, bez odszkodowań i bez kar. Jest to pogląd niesłuszny. Pokój powinien być sprawiedliwy, a sprawiedliwość nakazuje ukarać napastnika, a nie traktować go na równi z ofiarą lub broniącym prawa policjantem. Etyka katolicka pozwala jednostce przebaczać, ale któż śmiałyby twierdzić, że jest upoważniony przez wszystkich skrzywdzonych do przebaczenia? Nie, ci skrzywdzeni żądają kary i zadośćuczynienia. A za spełnieniem tego żądania przemawia zdrowy rozsądek, bo doświadczenie poucza, że zbrodnie puszczane bezkarnie, zachęcają innych do nowych przestępstw. To też jeśli o Niemców chodzi (ale nietylko oni dopuścili się wielu zbrodni), to nawet niemiecki myśliciel, Fr. W. Foerster żąda surowej kary. W książce "Europe and the German Question" (1941) przypomina on bardzo słusznie, że religia nie zabrania nam izolowania chorych. Mają oni być traktowani humanitarnie i należy dążyć do wyleczenia ich. Ale nie mamy traktować zarażonych tak, jakby byli zdrowymi ani traktować zbrodniarzy, jakby byli szlachetnymi ludźmi.

Foerster pisze dalej, że zbrodnie popełnione przez Niemcy hitlerowskie są tak olbrzymie, ogromna większość sfer wykształconych tak niezaprzeczalnie winna współudziału w tych zbrodniach, a narodowa megalomania uczyniła te zbrodnie rzeczą tak nieuniknioną, iż nie byłby to sprawiedliwy pokój, lecz zbrodnia przeciw milionom ludzi, których naziści rabowali, torturowali i mordowali, zbrodnia przeciw wieczystemu majestatowi prawa moralnego i upoważnienie do dalszych zbrodni, gdyby ta wina została w nowej Europie poprostu zapomniana i gdyby nie nastąpiły należne kary i odszkodowania.

Od czasu, gdy Foerster pisał te słowa, Niemcy popełnili szereg nowych zbrodni, m.in. także na obszarach wschodniej Polski oraz Związku Sowieckiego, który w zaciętej walce z najeźdźcą też poniósł ciężkie i bolesne straty.

Do tych myśli Fr. W. Foerстера dodać warto, że nieźle jest, gdy kara jest widoczna. To też dobrze będzie, jeśli Niemcy wyjdą z tej wojny pomniejszone. Trzeba, by w przyszłości każdy Niemiec, patrząc na mapę, stwierdzał z melancholią :

— W r. 1914 chcieliśmy zdobyć hegemonię w Europie. Nie udało się i straciliśmy tereny zarówno na wschodzie, jak na zachodzie. W r. 1939 spróbowaliśmy poraz drugi i znów wyszliśmy z walki osłabieni i pomniejszeni. Wojna się nie opłaca.

Jeśli sięgniemy do analogii z życia codziennego, to widzimy, że sąd państwowy nie tylko wymierza karę krzywdzicielowi, ale także stara się wydobyc od niego odszkodowanie. Po obecnej wojnie napastnicy powinni również płacić odszkodowanie. Nie pokryje ono całych kosztów wojny, ale niechże pokryje choć małą część. Zdaje się, że jeśli o Niemcy chodzi, to najłatwiej będzie im płacić polami i lasami. Są na wschodniej granicy Niemiec tereny słabo zaludnione, z których ludność rolnicza odpływa do Niemiec centralnych i zachodnich, gdzie brak rąk do pracy. Jeśli więc ziemia będzie płacone odszkodowanie Polsce, w której Niemcy zburzyli tysiące domów, jeśli ta bezdomna ludność polska będzie mogła objąć — po wyemigrowaniu Niemców — opuszczone przez nich gospodarstwa, to stanie się zadość wymaganiom sprawiedliwości. A nikt nie będzie mógł twierdzić, że Niemcom grozi z tego powodu katastrofa. Niemcom bowiem brakuje ludności rolniczej, Polska natomiast — chociaż słabiej zaludniona — jest w gruncie rzeczy przeludniona, jeśli chodzi o wieś i najbardziej potrzebuje nowych terenów rolnych. Oczywiście potrzebuje także naprawy innych szkód, to też będzie rzeczą słuszną, jeśli Niemcy część odszkodowania zapłacą maszynami, towarami etc.

Jak z powyższego widać, można zupełnie nie poruszać kwestii t.zw. praw historycznych ani konieczności strategicznych, można obracać się w kole pojęć znanych z normalnego procesu i dojść do wniosku, że Niemcy powinny być ukarane cofnięciem ich granic. Polska zaś, która pierwszą stawiała napastnikowi zbrojny opór, a tak ciężkie poniosła straty, powinna być szczególnie wynagrodzona. Jest to ważne, bo trzeba, by po wojnie każdy Europejczyk, patrząc

na mapę, widział nietylko ukarane Niemcy i z tego wnioskował, że napaść się nie oplaca. Chodzi także o to; by patrząc na powiększoną Polskę mógł stwierdzać, że oplaca się ryzykować i walczyć, ponosząc nawet najcięższe ofiary.

Sądzę zatem, że pokój może być tak obmyślony, iżby po wojnie żaden pacyfista nie mógł w dobrej mierze twierdzić, że jest on niesłuszny i powinien być jak najprędzej zmieniony. Pewnie, że pokój zgodny ze sprawiedliwością nie zadowoli imperialistów, marzących o zaborach i wymordowaniu jak największej liczby przeciwników. Ale o nich mniejsza. Ważne jest, by nasze polskie dążenia i nasze granice były zgodne z etyką, bo wtedy chyba uzna je opinia świata. A to jest rzecz doniosła tym bardziej, że wkrótce po wojnie prądy pacyfistyczne najprawdopodobniej znów spotężeją.

Niektórzy sądzą, że tak nie będzie, bo nienawiść do Niemców jest w Europie bardzo głęboka i przetrwa conajmniej 50 lat. Co do mnie, to nie założyłbym się nawet o 5 lat. Wszak poprzednia wojna Anglii z Niemcami była również bardzo zacięta. Nie popełnili wówczas Niemcy tylu zbrodni co obecnie, nie zbombardowali w Anglii tylu miast co teraz. Ale z drugiej strony wtedy zadali armii angielskiej straty tak poważne, tyle rodzin oplakiwało poległych, tylu inwalidów wróciło z Flandrii zatrutych gazami, tak straszne było oburzenie na Wilhelma II i tak często wymyślano Niemców od "Hunnów," iż wydawało się, że między W. Brytanią a Niemcami została wykopana przepaść. Wiemy jednak, jak szybko zmieniły się nastroje. Prawda, że niektórzy politycy angielscy brali stronę Niemiec w obawie przed hegemonią Francji, a ta obawa teraz odpadnie, ale było też dużo takich, co sympatyzowali z Niemcami dlatego, że uważali ich za nieszczęśliwych.

To też zagadnienie renesansu pacyfizmu powinno być należycie uwzględniane przy ustalaniu powojennych traktatów.

Niezależnie jednak od tych traktatów wyłonią się z pewnością nowe zatargi, może nawet wybuchną nowe, narazie zupełnie nieprzewidywane wojny. Wciąż będzie aktualne pytanie, jak najlepiej zabezpieczyć pokój i rozstrzygać spory. Ufajmy, że nie powtórzą się dawne błędy. Pokój powinien być zabezpieczony siłą, a więc Liga Narodów czy też jakaś inna nadrzędna organizacja powinna mieć do rozporządzenia odpowiednią siłę zbrojną. Zwycięskie demokracje oraz państwa neutralne powinny wystawić kontyngenty wojsk, które, rozmieszczone na obszarach Niemiec i ich sprzymierzeńców, zabezpieczą ład i porządek.

Inną ważną zmianą powinno być przyjęcie zasady, że Liga Narodów będzie interweniować także wtedy, gdy jedną ze stron będzie państwo, nie należące do Ligi. Gdyby tej zasady nie przyjęto byłoby to poprostu dla państw wojowniczych zachętą do występowania z Ligi.

Wreszcie Liga czy też jakiś inny twór tego rodzaju musi działać szybko i stanowczo. Wysyłanie komisji, które badają rok lub dłużej (jak to było ze słynną komisją Lyttona w czasie napadu Japonii na Mandzurię) jest anachronizmem w czasach, gdy los

państwa małego, a nawet średniej wielkości może się rozstrzygnąć w ciągu kilku dni. Nie można się ograniczać do rezolucyj ani do sankcyj ekonomicznych, jak to zrobiono w r. 1935. Trzeba użyć siły. Wydaje się to paradoksem, by wojnę zwalczać wojną. A jednak tak być musi. W życiu wewnętrznym mielibyśmy też znacznie więcej napadów i morderstw, gdyby napastnik nie widział niebezpieczeństwa, że próbując mordować innych — sam może zginąć z ręki policjanta. W związku z tym pożądane byłoby wprowadzenie do powojennych konstytucyj paragrafu postanawiającego, że obywatel nie jest obowiązany do spełniania rozkazów rządu, jeśli ten stawia zbrojny opór przeciwko uchwałom Ligi Narodów.

Paragrafy, pakt, konwencje — wszystko to ma bezwątpienia duże znaczenie. Ale rzeczą główną jest duch, jaki będzie ożywiał twórców pokoju i organizatorów nowej Europy. Ludzie mali, ciaśni, głupi, depreczający zasady etyczne — potrafią zmarnować najpiękniejsze możliwości. Przeciwnie — ludzie o szerokim horyzoncie i wielkich zaletach ducha potrafią się uporać nawet z tak ciężkim problemem, jak zamęt w powojennej Europie.

V. ZAMĘT W POWOJENNEJ EUROPIE.

Z wojny obecnej zwycięsko wyjdą dwa wielkie mocarstwa: W. Brytania i Stany Zjednoczone, które dotychczas dość niechętnie mieszały się do spraw europejskiego kontynentu. Będą one w stanie zrobić dla Europy bardzo dużo, ale zadania będą trudniejsze niż po wojnie poprzedniej.

Weźmy np. akcję pomocy gospodarczej, która dla milionów ludzi będzie — przez pewien czas przynajmniej — rzeczą o wiele ważniejszą od wszelkich planów powojennej organizacji świata. Z wojny poprzedniej wyszły zwycięsko także Francja i Włochy, a państw neutralnych, nie zniszczonych wojną, było więcej (Dania, Norwegia, Holandia) niż teraz. A więc po obecnej wojnie więcej będzie potrzebujących pomocy, a mniej tych, którzy jej mogą udzielać. Sytuacja będzie jeszcze trudniejsza, jeśli wojna w Europie skończy się wcześniej niż na Pacyfiku, czego oczywiście pragniemy gorąco.

Uporządkowanie Europy po tamtej wojnie trochę utrudniła rywalizacja Francji z Anglią. Między Stanami Zjednoczonymi a Anglią sprzeczności interesów w Europie — jak dotychczas — zupełnie nie widać. Co więcej, obie demokracje okazują gotowość do dalszego zacieśnienia już tak serdecznych stosunków.

Nie ulega wątpliwości, że Stany Zjednoczone naogół znacznie mniej interesować się będą Europą niż Anglia. Pewnie, że wojna obecna powinna być poważnym ostrzeżeniem przeciw wszelkiemu izolacjonizmowi. Ale ostrzeżenia bywają zapominane.

Ponieważ obie potężne demokracje zrobiły dobre doświadczenia z t.zw. federalizmem, przeto najprawdopodobniej będą usiłowały zalecić Europie tę samą drogę. Ale w Europie droga ta najeżona jest wielkimi przeszkodami.

Niektórzy przewidują złączenie w jednej federacji dwóch pokłóconych narodów. Jak to ma wyglądać np. na półwyspie Bałkańskim? Od szeregu lat mówiło się o korzyściach, jakie przyniosłaby federacja Jugosławii z Bułgarią. Obecnie jednak bardziej realną wydaje się federacja (względnie konfederacja) Jugosławii z Grecją. Gdzie są psychologiczne warunki porozumienia jugosłowiańsko-bułgarskiego? W tej wojnie Bułgarzy napadli na Jugosłowian, zabrali im kawał Macedonii i dopuszczają się tam takich okrucieństw, że zrozpaczona ludność podobno ucieka pod okupację niemiecką. Jugosłowianie po wojnie wypędzą tych, co zrabowali serbskie gospodarstwa (jak Niemcy — polskie) i będą żądać surowego ukarania winnych. Gdybyśmy doradzali Jugosłowianom umiarkowanie i łagodność, zapytają nas, czy te same zasady gotowi jesteśmy zastosować do okupantów niemieckich? Pewnie, że po kilkunastu latach pokojowego współżycia, w ciągu których żadna strona nie wyrządziłaby drugiej nowej krzywdy, mogłyby powstać w Sofii i Białogrodzie silne dążenia do zbratania się. Ale któż będzie przez te długie lata pełnił rolę stróża i wychowawcy?

Weźmy Węgry i Rumunię. Z obu tych państwami chcielibyśmy żyć w dobrych, przyjaznych stosunkach. Ale wiemy, że obszary językowe obu tych narodów tak się nawzajem zazębiają, iż rozdzielenie ich jest rzeczą prawie niemożliwą. Albo w państwie węgierskim jest liczna mniejszość rumuńska albo w rumuńskim — węgierska. Obecna granica, podyktowana w r. 1940 przez Hitlera, to typowa "krwawiąca granica." Przecina Siedmiogród na dwie części. Nawet teraz, gdy zarówno Węgry jak Rumunia zmuszone, zostały przez Hitlera do "braterstwa broni" na froncie sowieckim, antagonizm między obu narodami jest bardzo silny. Po wojnie w Budapeszcie i w Bukareszcie rządzić będą inni ludzie, ale nieprzyjaźń pozostanie. A czyż paroletni okres zatruwania się hitlerowskimi hasłami może przygotować grunt do zgodnej, na zasadach tolerancji i prawa opartej współpracy?

Federacje mogą być tworzone z pożytkiem przez narody, między którymi niema poważnych różnic ustrojowych ani zatargów religijnych lub narodowościowych. Naogół biorąc pożądana jest pewna równowaga sił. Ale nawet w takich razach narody nie zawsze spieszą się do unii. Niema właściwie żadnych zatargów między Szwecją a Norwegią lub Holandią a Belgią, a mimo to narazie nie słyhać o żadnych decyzjach w kierunku łączenia się.

Trudno sobie wyobrazić dobrowolne połączenie się dwóch krajów, z których jeden byłby chrześcijańskim, drugi bezbożnym, jeden — demokracją, drugi — totalną dyktaturą. Federacja (względnie konfederacja) może być natomiast bardzo pożyteczna i wytrzyma próbę życia, jeśli bratające się narody mają wspólne interesy, jeśli im zagraża wspólne niebezpieczeństwo, jeśli postanawiają wykonać łącznymi siłami jakieś ważne zadanie. W takich wypadkach przynależność do federacji może być pożyteczniejsza niż przynależność do ogólnej Ligi Narodów. Prawdą jest, że jeden, wielki światowy związek państw nie będzie mógł rozwiązać pewnych specjalnych

zadań na danym obszarze. Ale bez takiego ogólnego związku się nie obejdzie, bo same federacje najprawdopodobniej nie zdołałyby utrzymać pokoju w Europie.

Jeśli do konfederacji będzie można przystępować, to będzie można i występować. O prawo to będą oczywiście walczyły te bloki, które mogą liczyć na przyływ nowych członków. Gdyby nie było Ligi Narodów, któż byłby w stanie rozsądzać spory między federacjami lub między takimi państwami, które — wystąpiwszy z jednej konfederacji — nie wstąpiłyby chwilowo do żadnej?

Sprawa granic będzie źródłem wielu kłopotów i zatargów w latach najbliższych, tuż po wojnie. Później sprawy mniejszości narodowych spowodują wiele ostrych sporów. Jest bowiem rzeczą pewną, że nowe granice państwowe nie będą się pokrywać z językowymi. Niezłym sposobem zmniejszania płaszczyzny tarć jest przesiedlanie ludności, chociaż rozwój komunikacji, a co za tym idzie — stosunków handlowych sprzyja mieszanii się ludzi. Przesiedlanie może być przeprowadzone bez większych trudności tam, gdzie chodzi o ułamek procentu lub choćby nawet parę procent ludności. Ale czyż Czechosłowacja, licząca ponad 3 mil. Niemców (22 procent), zgodziłaby się na przesiedlenie wszystkich?

Jest to przykład najjaskrawszy, bo Czechy i Morawy mają wyjątkowo dużą ilość Niemców. Ale zagłębimy do innych krajów. Czy np. Rumunia nie zawaha się przed wysiedleniem Sasów siedmiogrodzkich? Czy w tym naogół rolniczym kraju do rozwoju przemysłu nie przyczynili się wybitnie Niemcy?

Nad względami gospodarczymi musi nieraz górować nakaz umocnienia narodowego charakteru państwa i usunięcia, zwłaszcza z terenów przygranicznych, żywiołów nielojalnych i wrogich. Jeśli zaś ponadto w zamian za obywateli nielojalnych, stanowiących materiał dla t.zw. piątej kolumny, można wprowadzić do kraju dobrych patriotów, to przesiedlanie stanie się zabiegiem niewątpliwie pożytecznym.

Ale w Europie jest i będzie kilkadziesiąt milionów ludzi należących do mniejszości narodowych. O przesiedleniu wszystkich lub choćby połowy nie może być mowy. Przeciw tak radykalnemu rozwiązaniu przemawiają względy polityczne, gospodarcze, a przede wszystkim etyczne. Np. spójrzmy ponownie na Siedmiogród, tym razem na wioski zaludnione przez węgierskich Szeklerów. Czyż godzi się bez bardzo ważnej przyczyny wyrzucać ludzi z ziemi, na której żyli od setek lat, którą zdobyli w walce z przyrodą, a nie z innymi ludami? Oczywiście zupełnie inaczej przedstawia się sprawa tych, którzy — jak teraz w Polsce — osiedli na ziemiach zrabowanych w tym głównie celu, by zgermanizować kraj, by zgniebić i zniszczyć jego prawowitych, odwiecznych gospodarzy.

Zagadnienie przesiedlania w powojennej Europie musi być zbadane gruntownie na każdym poszczególnym odcinku. W dążeniu do jednolitości czy zwartości narcdowej nie można iść zbyt daleko. Skutki wysiedlań są nieraz nieoczekiwane. Co do Francji, to zdaniem wielu poważnych historyków na złe jej wyszło

wypędzenie Hugonotów pod koniec XVII wieku. Część wypędzonych osiedliła się w Niemczech i niemało przyczyniła się do rozwoju rzemiosła i przemysłu, wzmacniając w ten sposób gospodarcze podstawy pruskiego militarystu.

Skoro pozostaną mniejszości narodowe, to będą też niestety ostre zatargi na tym tle. Czy możemy wierzyć, że prześladowania ustaną nagle jak nożem uciął? Czy wojna obecna tak uszlachetnia ludzkość?

Bardzo poważne będą gospodarcze trudności Europy i to również po usunięciu pierwszych najdotkliwszych braków, głównie żywnościowych. Nie zanosi się na żadną unię gospodarczą, bo każdy naród, prawdziwy naród będzie twardo bronił swej niepodległości i ziemi, którą zamieszkuje.

Całkowite zniesienie granic celnych spowodowałoby gwałtowne wstrząsy gospodarcze i wielkie ruchy ludności. W niektórych krajach upadłoby rolnictwo, w innych przemysł. Robotnicy i chłopcy wędrowaliby tysiącami do innych krajów, po lepsze zarobki.

Daleko idąca współpraca gospodarcza jest oczywiście pożądana i konieczna, ale od tego daleko jeszcze do niszczenia odrębnych gospodarstw narodowych, co musiałoby nastąpić po zupełnym zniesieniu granic celnych. Niewiadomo, komu wyszłoby to na dobre.

Zazwyczaj im większy obszar gospodarczy, im liczniejsza ludność, im niższe bariery celne, tym większe możliwości rozwoju gospodarczego. Na terytorium obecnych Stanów Zjednoczonych ludność nie byłaby tak bogata, gdyby zamiast jednego państwa istniało tam kilkadziesiąt państweczek.

Nie jest to jednak pewnik, że wielki organizm gospodarczy zawsze lepiej się rozwija niż mały. Porównajmy np. rozwój Rosji i Szwajcarii w paru ostatnich stuleciach. Albo weźmy Litwę i Francję w ubiegłych dwóch dziesięcioleciach. Niewątpliwie Litwa robiła szybsze postępy, choć była krajem mniejszym. Silniej bowiem niż duży obszar i bogactwa może oddziaływać zła gospodarka.

Warto podkreślić, że już w ubiegłym wieku mówiono w Europie o potrzebie łączenia się celem przeciwwstawienia się ekspansji gospodarczej innych obszarów, np. Stanów Zjednoczonych. R. Rybarski w książce p.t. "Idea gospodarstwa narodowego" (1919) przytacza oświadczenie Polaka, ministra austriackiego, hr. A. Gołuchowskiego, który w r. 1897 mówił oficjalnie, że "wiek XX zapowiada się dla Europy jako stulecie walki o byt w dziedzinie polityczno-handlowej i narody Europy muszą się połączyć, aby skutecznie bronić podstaw, na których opiera się ich siła życiowa."

Po pierwszej wojnie światowej rozlegały się głosy za stworzeniem "Paneuropy." W rzeczywistości jednak wzmogły się tendencje autarkiczne, a walki handlowe między różnymi państwami zaostrzyły się. Po obecnej wojnie zapewne znowu podjęte będą próby scalenia odrębnych gospodarstw narodowych i znowu się nie powiodą. Zmuszanie narodów do wyrzeczenia się niepodległości gospodarczej

spowodowałyby zapewne wcześniej czy później gwałtowną reakcję i jeszcze silniejszy nawrót ku idei samowystarczalności gospodarczej.

Protesty przeciwko zbyt daleko idącemu zespalaniu się wychodzić będą nietylko z krajów ubogich, lękających się utraty swej niepodległości, lecz także z państw bogatych, lękających się obniżenia ich poziomu życia na skutek łączenia się z krajami ubogimi. Nie jest wykluczone, że w mocarstwach zwycięskich ujawnią się wkrótce po wojnie zdecydowane tendencje w kierunku ograniczenia pomocy gospodarczej dla wyniszczonej Europy. Mocarstwa te przecież staną przed wielkim problemem demobilizacji. Gdyby w trakcie przestawiania się na gospodarkę pokojową powstały jakieś poważne trudności, to nie jest wykluczone, że część opinii upatrywałaby źródło tych trudności w akcji pomocy dla Europy i żądałaby nawrotu do polityki odosobnienia. Wniosek byłby oczywiście zupełnie niesłuszny, ale tego rodzaju rozumowanie mogłoby być popularne.

Paroletni okres blokady nie pozostanie bez trwałych następstw. Te dominia brytyjskie, które w czasie obecnej wojny rozbudowały swój przemysł, zwłaszcza zbrojeniowy, będą oczywiście przeciwstawiać się próbom zepchnięcia ich z nowych pozycji przez przemysł czy handel europejski. Od W. Brytanii dominia domagają się będą, by zwiększyła swój handel z nimi drogą specjalnych traktatów handlowych i taryf celnych.

W tych więc warunkach położenie powojennej Europy nie będzie łatwe. Z wdzięcznością przyjąć należy wielkoduszne zapewnienia Londynu i Waszyngtonu o gotowości niesienia pomocy, ale jest rzeczą jasną, że rozstrzygającym czynnikiem będzie wysiłek samych państw europejskich. Nie obca pomoc, lecz własna praca stworzy podstawy siły i dobrobytu Polski. Trudności, które przed nami się wyłonią, nie będą niepokonalne. Ale trzeba je jasno widzieć, nie oddawać się żadnym złudzeniom, oceniać sytuację trzeźwo i gruntownie przemyśleć, czym w nowej Europie będziemy i do czego dążymy.

VI. POŁOŻENIE POLSKI.

Nas, Polaków, bardzo interesują plany powojennej organizacji Europy, ale jeszcze więcej uwagi poświęcamy sprawom granic. Zdajemy sobie sprawę z tego, że nasze granice przedwojenne były stosunkowo świeże, nie mają za sobą takiej przeszłości jak granice Szwajcarii lub choćby Holandii. Wiemy, że przez obcych nie są uważane za coś nienaruszalnego. Są liczne oświadczenia naszych przyjaciół za zmianą tych granic na naszą korzyść, ale niestety odzywają się niekiedy głosy za zmianą na naszą szkodę.

Przy rozważaniu tych zagadnień warto najpierw zaznaczyć, że od katastrofy wrześniowej dają się słyszeć narzekania na temat naszych dziejów. Zostaliśmy rzekomo pokrzywdzeni przez los, obraliśmy rzekomo najzupełniej mylny kierunek rozwoju, musimy zmienić naszą drogę dziejową etc.

W tych biadaniach, nie powszechnych zresztą, ileż jest racji? Gruntowne a beznamętne badanie naszych dziejów prowadzi do wniosku, że istotnie w ciągu tysiąca lat popełniliśmy dużo ciężkich błędów. Co również ważne — nie wykorzystaliśmy wielu doskonałych sposobności. Mogliśmy dojść do większej siły, mogły się nasze losy trochę pomyślniej potoczyć, gdyby nie liczne ciosy z zewnątrz, spadające na nas częściej niż np. na niektóre kraje Zachodu lub Północy.

To wszystko prawda, ale mimo to nie można twierdzić, że cały nasz kierunek narodowego rozwoju to jedna wielka pomyłka. Naród nie może się mylić przez tysiąc lat. To, żeśmy się posunęli trochę na wschód, niosąc tam kulturę i cywilizację, żeśmy byli przedmurzem chrześcijaństwa, żeśmy się — niestety! — cofnęli pod naporem germańskim — to wszystko ma swoje głębokie przyczyny. Zapewne, mogło być trochę inaczej, ale wątpię, czy dzieje mogły się potoczyć zupełnie inaczej, a z większym dla nas pożytkiem.

Wynik przecież nie był katastrofalny. Za Bolesława Chrobrego (1024 r.) Polska liczyła zdaniem niektórych historyków 333 tys. kilometrów kwadratowych. Za Mieszka I liczyła mniej, może około ćwierć miliona kilometrów kwadratowych. Współczesna Polska jest i będzie większa.

Trudniejsze są porównania co do ludności. T. Ladenberger w pracy swej "Zaludnienie Polski na początku panowania Kazimierza Wielkiego" (wyd. 1930) oblicza, że w chwili koronacji Łokietka jego państwo obejmowało 115.300 kilometrów kwadratowych i około 700 tys. mieszkańców, co stanowiło 55% obszaru i 51% ludności wszystkich ziem polskich. Na początku panowania Kazimierza Wielkiego na obszarze wszystkich ziem polskich mieszkało około 1.500.000 ludzi.

Nie wiemy, o ile te oszacowania zbliżają się do do prawdy i ile z tego półtora miliona odliczyć trzeba na mniejszości (Niemcy, Żydzi), choć słowo to dziwnie brzmi w zastosowaniu do XIV wieku. W każdym razie obecnie, po sześciu wiekach, Polaków w Europie jest dwadzieścia razy więcej.

Inny historyk, T. Korzon szacował ludność Rzeczypospolitej w r. 1771 na 11.420.000 głów. We wschodniej części ówczesnej Rzeczypospolitej ponieśliśmy ogromne straty w okresie niewoli, ale przecież i w tym okresie na niektórych odcinkach naszego obszaru językowego szliśmy naprzód.

Stosunek liczebny Polaków do Niemców w r. 1939 przedstawiał się mniej więcej jak 1 do 3. Nie sądzę, by przed tysiącem lat był dla nas korzystniejszy.

Można naturalnie robić jeszcze inne porównania. W każdym razie historia uprawnia nas do wiary we własne siły, we własną żywotność, zarazem zaś przemawia przeciwko idei jakiegoś radykalnego zwrotu w naszym pochodzie dziejowym. Gdyby nam więc ktoś zaproponował, dajmy na to, tak: "Dostaniecie Szczecin, ale zrezygnujcie z Wilna i Lwowa" — to oczywiście takie propozycje odrzucilibyśmy z oburzeniem. Ziemie polskie nie mogą być

przedmiotem handlu. Pierwszym naszym celem jest odzyskanie tego wszystkiego, co naród polski sobie w latach 1918–22 wywalczył, co stanowiło obszar Polski, uznany w różnych traktatach, paktach i konwencjach, a co niestety jest tylko częścią terytorium ongiś historycznie polskiego.

Drugim naszym celem powinno być uzyskanie odszkodowania, w którym — jak o tym była mowa wyżej — mieścić się powinny zmiany terytorialne na naszą korzyść. Należy kłaść nacisk większy niż dotychczas na zasadę odszkodowania i nasze pierwszeństwo pod tym względem. Jest ona zasadą dla nas najkorzystniejszą, która nie może być obrócona przeciw nam. Gdy mowa o wkładzie w wojnę, to nie ulega wątpliwości, że np. wkład Rosji, aczkolwiek całkiem przymusowy, będzie większy niż nasz. Rozważania strategiczne mogą prowadzić do całkiem dowolnych wniosków. Idea odszkodowania natomiast nie może być wykorzystana przeciw nam. Nie myśmy bowiem wkroczyli na obce terytoria, niemieckie lub rosyjskie, nie myśmy rozpoczęli wojnę. Nie myśmy rabowali, mordowali, wysiedlali setki tysięcy ludzi, lecz robili to na naszych ziemiach nasi źli sąsiedzi. My zatem nietylko nie mamy nic do dawania, lecz nam się należy odszkodowanie.

Zasada odszkodowania niewątpliwie odpowiada kupiecko-handlowemu sposobowi myślenia szerokich kół anglosaskich. Jest też faktem niezbitym, że po wojnie poprzedniej zasada odszkodowania była broniona znacznie dłużej niż np. idea ukarania zbrodniarzy wojennych.

O zbrodniach też nie zapomnimy. Bywa czasem tak, że należy odstąpić od wymierzania kary, jeśliby jej wymierzenie miało przynieść więcej szkody niż pożytku. Zdarza się też, że winowajca pośrednio, w inny sposób sam naprawia szkody wyrządzone. Bywa, że winowajca jest tak potężny i tylu ma przyjaciół, że wymierzenie mu kary okazałoby się — niestety — niemożliwe. Trzeba wreszcie wziąć pod uwagę, czy winowajca nie działał częściowo pod naciskiem obcym. Być może, że tak właśnie rzecz się miała z Litwinami i Słowakami, którzy zresztą wyrządzili szkody stosunkowo drobne, a w każdym razie traktowali ludność lepiej niż inni okupanci.

Kara to oczywiście nie dzika, ślepa zemsta. Trzeba zawsze opierać się na idei prawa i pragnąć, by w życiu międzynarodowym było jak najwięcej uczciwości i szlachetności.

Nasze dążenia i uczucia powinniśmy wciąż porównywać z dążeniami i uczuciami całego świata. Nie będziemy przecież mogli izolować się od reszty ludzkości. Przeciwnie — cele, które sobie stawiamy, chcemy urzeczywistnić przy pomocy różnych narodów. Trzeba sobie z tego dobrze zdawać sprawę, szczególnie gdy myślimy o przyszłych granicach. Czy zamierzamy ich bronić sami, bez sojuszników i przy niechętniej postawie większości świata, czy też nie? Jeżeli nie, to trzeba teraz walczyć o takie granice, którebyśmy nietylko my, lecz także opinia świata uważała — i to naturalnie nie przez rok tylko lub dwa — za słuszne i celowe. Nie należy budować niczego na nastrojach przemijających.

W jakimś starym filmie można było zobaczyć ciekawą scenę, jak to bogaty milioner zaprzyjaźnia się po pijanemu z Charlie Chaplinem. Odnosi się do niego jak najprzyjaźniej, wszystko gotów zrobić dla nowego znajomego. Ale gdy mija oszołomienie, gdy nadchodzi nowy dzień, wtedy milioner nie przypomina sobie poprzednich obietnic i zrywa z ubogim Chaplinem. Historia powtarza się coś dwa czy trzy razy.

Otóż są narody ubogie i są dwaj bogacze, po dwóch stronach Atlantyku. Nie należy przeceniać tego, co któryś z nich mówi teraz, bardzo podniecony i oszołomiony gniewem, jaki wzbudziły zbrodnie Niemców. Jak się zachowa, gdy się uspokoi, gdy się rozpocznie nowy dzień, nowa era — pokoju? Oto zasadnicze pytanie.

Nawiasem mówiąc, jeśli o Johna Bulla chodzi, to bynajmniej nie jest on pijany nienawiścią do Niemców. Wcale często można jeszcze i teraz — po trzech latach wojny — słyszeć opinię, że Traktat Wersalski był zbyt surowy dla Niemców. Liczba Anglików, skłonnych do współpracy z t.zw. dobrymi Niemcami, szacowana jest na 40%.

Do wywalczenia sobie mocnej pozycji w Europie i lepszych granic niemało przyczynić się mogą trafne posunięcia wobec narodów, z którymi sąsiadujemy. W szczególności ważne jest należyte ułożenie stosunków z Czechosłowacją i Litwą. Poświęciłem tym sprawom dwie skromne prace, wobec czego nie będę ich tutaj roztrząsał. Warto jednak podkreślić, że posuwamy się bardzo powoli naprzód. Prawda, że do umów trzeba dwóch stron, zresztą ostateczne decyzje z naszej strony może powziąć tylko Sejm po wojnie, ale przecież potrzebne jest ustalenie sposobów usunięcia głównych trudności, poznanie rzeczywistego stanu rzeczy i spularyzowanie programu zbliżenia i współpracy.

Historią nigdy nie powtarza się dokładnie, w stu procentach, ale nie ulega wątpliwości, że zagadnienia wynikające z warunków geograficznych i z układu stosunków narodowościowych zmieniają się bardzo powoli. To też należy mieć w pamięci trudności, jakie stanęły przed nami z końcem 1918 r., bo może się wytworzyć sytuacja pod pewnymi względami trochę podobna do ówczesnej. Sądzę, że ostateczny wyrok historii pójdzie w tym kierunku, iż w latach 1918—22 nie wszystko nam się powiodło, a to dlatego, że podjęliśmy próby wykonania zadań albo ponad nasze siły albo przynajmniej w nieodpowiedniej kolejności. Mianowicie jeśli można się spierać co do tego, czy w r. 1920 Polska była w stanie rozwiązać problemy Ukrainy i Białorusi wbrew Rosji, to jednak nie ulega wątpliwości, że najpierw należało wyteżyć siły celem uzyskania dobrej granicy zachodniej.

Wówczas trudno nam się było zdecydować, czego mamy prawo żądać. Między granicą wschodnią z r. 1772 a granicą Królestwa Kongresowego był olbrzymi szmat ziemi, który mogły przeciąć najrozmaitsze linie graniczne. Było też wielu Polaków, którzy nie mogli się pogodzić z myślą o wyrzeczeniu się Połocka, Mińska,

Bobrujska, Żytomierza. Wydawało im się, że mamy prawo do tych miast.

Teraz dla nas sytuacja jest jasna. Chcemy żyć w zgodzie z narodem rosyjskim, podstawę zaś pokojowego współżycia widzimy w Traktacie Ryskim, który ustalił kompromisową, a z punktu widzenia geografii dość szczęśliwą linię graniczną. Wiemy, czego się trzymać, czego nieugięcie bronić.

Im mniejsze będą płaszczyzny tarcia, tym większe nasze szanse. Im więcej przyjaciół pozyskamy sobie jeszcze w czasie wojny, tym większa pewność, że nie powtórzy się nad wyraz ciężka sytuacja z r. 1919, kiedy to musieliśmy bronić się na wszystkich granicach.

Przy ustalaniu wszelkich planów należy przede wszystkim dokładnie zbadać własne siły. Wszelka niedokładność, a tym bardziej błaga, mści się strasznie. Zły to wódz, który przy opracowywaniu planu bitwy nie oblicza własnych sił albo też próbuje się okłamywać, biorąc za podstawę cyfry stare, nie uwzględniające świeżych strat.

Podobnie ma się rzecz z walką polityczną, z walką narodowościową, która oczywiście może być zupełnie godziwym współzawodnictwem, niczym nie przypominającym współczesnych metod niemieckich. Ale w każdym wypadku trzeba dobrze wiedzieć, jakimi siłami rozporządzamy i gdzie, to znaczy, ilu Polaków mieszka i gdzie. Nie opierajmy się na cyfrach przestarzałych. To, że w XVIII wieku było koło Szczecina tyłu a tyłu Słowian, że w XIX wieku w Lignicy czy Wrocławiu sytuacja narodowościowa była taka a taka, to wszystko ma małe znaczenie. Jak jest obecnie, w naszych czasach — oto pytanie rozstrzygające. Nie możemy uznawać hitlerowskich faktów dokonanych — to jasne, możemy również dążyć do przekreślenia tego, co Niemcy nieuczciwymi metodami osiągnęli już przed Hitlerem, ale to wszystko nie zwalnia nas od obowiązku zrobienia ścisłego rachunku, jak jest obecnie.

Pierwszy wynik ludzenia się, to gorzkie rozczarowanie. Czy to uczucie nie ogarnęło tych, co mówili o 5 milionach Polaków w Ameryce i oczekiwali od nich odpowiedniego wysiłku zbrojnego? Należało zawsze ściśle mówić o Polakach i o Amerykanach polskiego pochodzenia.

Ale w walce narodowościowej na pograniczu omyłki mogą spowodować nie tylko rozczarowanie, lecz przegraną. Przykładem może być historia plebiscytu na Górnym Śląsku z r. 1921. Gdybyśmy byli mniej optymistycznie usposobieni, to może zdecydowanym protestem zapobieglibyśmy udziałowi emigrantów, a wtedy wyniki byłyby inne. Omylić się wówczas było łatwo, bo przecież były to pierwsze tego rodzaju "bitwy" narodowościowe i poraż pierwszy smartwychwstająca Polska mierzyła się z Niemcami. Teraz jednak, po tylu plebiscytach i wyborach w całej środkowo-wschodniej Europie, po doświadczeniach w Sudetach, W. M. Gdańsku, Kłajpedzie — teraz jest karygodną lekkomyślnością operowanie przestarzałymi cyframi lub wrażeniami. Trzeba rachować i wnioskować

całkiem chłodno, beźnamiętnie, niezależnie od tego, czy przewidujemy jakiegokolwiek plebiscytu czy nie.

Zapatrywania niektórych Polaków tu, w Wielkiej Brytanii, ogromnie przypominają ich postawę przed wojną. Byli święcie przekonani, że mamy armię lepszą niż była w rzeczywistości, lepiej wyposażoną. Dlatego gdy ktoś w r. 1937 lub 1938 bił na alarm, spotykał się z protestami: skąd taki pesymizm? Jesteśmy mocni. Damy sobie radę!

A gdy ktoś uparcie zwracał uwagę na to, jak rozległy może być front, jak ogromne siły będą potrzebne, mógł się narazić na zarzut osłabiania ducha. Teraz znów przeciętny Polak jest święcie przekonany, że do walk narodowościowej jesteśmy przygotowani lepiej niż to jest w rzeczywistości. Dlatego gdy ktoś ostrzega, że front będzie przecież bardzo rozległy że przeciwnik (a raczej przeciwnicy, bo walka narodowościowa toczy się na kilku odcinkach) jest silny, znów podnoszą, się protesty: skąd ten pesymizm? Jesteśmy silni. Damy sobie radę.

Tak samo jak przed wojną żołnierzami, tak dziś operują niektórzy cyframi Polaków. Tam — mówią — mamy ich pięć milionów, tu dwa, tam pół, gdzieindziej przynajmniej ćwierć etc. Przed wojną mówiliby: tam stanie pięć naszych korpusów, tu dwa etc.

Zaślanianie sobie oczu, by nie widzieć rzeczywistości, może się znów pomścić!

Sprawa jest tym poważniejsza, że tu przecież chodzi nie o jedno pogranicze. Naturalnie formy zmagania się narodów są rozmaite i określenie "walka" może czasem wywoływać zdziwienie. Zdarza się, że dwa narody zmagają się ze sobą, wcale sobie tego nie uświadamiając. Jeden język powoli wypiera drugi, kultura wyższa walczy z niższą i po pewnym czasie uczeni stwierdzają, że coś się zmieniło, chociaż na danym obszarze nikt do walki narodowościowej nie nawoływał.

W naszym stuleciu mamy do czynienia zazwyczaj ze świadomą walką narodów. Np. Czesi bardzo zacięcie walczyli z Niemcami w przedwojennej Austrii o okręgi wyborcze, rady miejskie, gimnazja etc. Nie było rozlewu krwi, wszystko działo się w ramach prawa. Więc należałoby może mówić o twórczym współzawodnictwie dwóch grup narodowych? Nie, ze względu na zaciętość objawianą, na uczucia, żywione po obu stronach, słowo "walka" nie jest zbyt silne.

Otóż czy tego rodzaju walka jest pożyteczna i twórcza, czy jest nieunikniona i pożądana, czy będzie jeszcze długo trwać — o tym można mieć różne zdania. Tu jednak chodzi mi o to, czy można ręczyć, że w nowej Polsce takich walk absolutnie nie będzie? Naturalnie nie można. Tak samo jak przewidujemy walkę proletariatu z kapitalistami, tak samo musimy przewidywać walkę różnych narodów, walkę o byt i to czasem w pokojowej, przewidzianej prawem formie, a nieraz w innej. Może się zdobędziemy na wielki program w stosunku do mniejszości słowiańskich, może nawet ze swej strony zrobimy wszystko, by stosunki ułożyły się jak najlepiej.

Ale jeśli po drugiej stronie nie będzie chęci zgody, jeśli zli sąsiedzi będą intrygować i podburzać do walki, to naturalnie będzie trwało planowe i świadome zmaganie się narodów. W tej walce decydować będzie wytrwałość, praca, przywiązanie do ziemi ojczystej, poziom kultury, ale siła liczebna mas ludzkich też będzie bardzo ważnym czynnikiem. Otóż może się okazać, że będzie potrzeba, aby wzmocnił się żywioł polski nie tylko nad Bałtykiem, ale i nad Dniestrem, Styrem, Szczarą, Wilią. Czy bierzemy to wszystko pod uwagę? Czy gruntownie badamy zagadnienie, co jest najważniejsze, gdzie leżą nasze największe zadania i gdzie stosunkowo najłatwiej można osiągnąć duże sukcesy?

W naszym tak trudnym położeniu geograficznym nie możemy sobie pozwalać na pomyłki. Nie należymy do najliczniejszych narodów świata, a z wojny obecnej wyjdziemy z bolesnymi ranami.

VII. NARÓD A MNIEJSZOŚCI.

Na niektórych obszarach Polski antagonizmy narodowościowe bodaj czy nie zaostrzają się. Np. stanowisko Ukraińców, którzy w ogromnej większości szczerze i wydatnie pomagają Niemcom napewno nie ułatwi zbliżenia. Zachowanie się niektórych Litwinów na Wileńszczyźnie też nie może się Polakom podobać.

W tym stanie rzeczy byłoby prawdziwym nieszczęściem, gdyby przewidywane zatargi zostały pogłębione skutkiem błędnego pojmowania roli narodu polskiego w powojennej Polsce i jego stosunku do mniejszości. Ale czy na to się zanosi? Niemcy pokonali nas w r. 1939 militarnie, ale nie pobili duchowo. Nigdy, nawet w okresie największych powodzeń Hitlera, nie zamierzali Polacy na Niemcach się wzorować. Nie przejmujemy od nich idei "Herrenvolku," ich pychy i pogardy dla innych narodów.

Idea, że jakiś naród ma wydzierać ziemię innym i tępić słabsze ludy, jest sprzeczna z etyką i jest nam obca. Wszystkie narody mają prawo do życia i wszystkie posiadają szeroki zakres nienaruszalnych praw.

W Polsce nie będzie dzielenia ludności na dwie kasty, jak to jest w Niemczech gdzie sądy inaczej karzą za zabicie Niemca, a inaczej za zgładzenie Polaka lub Żyda. Są to rzeczy tak jasne, wola narodu polskiego jest pod tym względem tak wyraźna, że nie ma się co nad tym rozwodzić.

Zachodzi jednak pytanie, jak należy pojmować naród polski. Mylilby się ktoby sądził, że pod tym względem nie może być wielkich różnic. Ba, przecież tu, w Anglii, jeden z wybitnych przywódców nacjonalizmu polskiego wydał broszurkę, w której zaleca i szeregiem argumentów popiera ideę, by tworzyć "wielki naród" polsko-ukraiński. Pojęcie narodu może się zmieniać. Innym był naród polski za Łokietka, a innym za Władysława IV. Są narody jednolite językowo i są inne, niejednolite.

Najlepszym przykładem jest Szwajcaria, która po obecnej wojnie zapewne będzie przez niektórych stawiana za wzór. Trzeba

przyznać, że Szwajcaria dobrze wytrzymuje takie ogniowe próby spoiwości jak poprzednia i obecna wojna światowa. Poczucie solidarności i lojalności wobec ojczyzny jest o wiele silniejsze niż sympatie dla mówiących tym samym językiem sąsiadów: Niemców, Francuzów i Włochów. Ale Szwajcaria istnieje już kilka wieków, a od stu lat z górą nie zaznała obcego najazdu.

W Belgii, która jest państwem znacznie młodszym, rządy Niemców wywołują pewne trwałe, a niepożądane następstwa. Po wojnie poprzedniej zaostrzyły się spory Flamandów z Wallonami, w tej wojnie Niemcy również wszystko robią, by różnice jak najbardziej pogłębić.

Na terenie Czechosłowacji odnowienie jedności Czechów z Słowakami jest i pożądaną i możliwą, bo naogół biorąc niepodległa Czechosłowacja pozostawiła po sobie dobrą pamięć, a rozdwojenie przyniosło także Słowakom liczne straty, przede wszystkim okrojenie terytorium na rzecz Węgier.

W Jugosławii, gdzie przeciwności są daleko głębsze, a dyktatorskie rządy gen. Ziwickowicza i Srskicza dolewały oliwy do ognia, osiągnięcie prawdziwego zjednoczenia będzie rzeczą trudniejszą. Oczywiście pragnąć należy, by rzeczywiście istniał naród jugosłowiański, bo jakże krwawo płacą Słowianie za niezgodę!

Zwolenników naśladowania Szwajcarii nie brakowało w Pradze. Odzywały się tam głosy, że należy traktować Niemców jak współgospodarzy kraju, zaniechać wzmocnienia żywiołu czeskiego w okręgach kresowych, dopuścić Niemców do rządów. To ostatnie zresztą nastąpiło już w r. 1926. Mniejszość niemiecka posiadała ogromne swobody, które wykorzystał Henlein.

Gdy więc po tej wojnie będą nam doradzać, byśmy w polityce narodowościowej naśladowali Szwajcarię, to wskażemy na te różne doświadczenia z wielu krajów. Każda mniejszość może być podburzana z zewnątrz, każda może się stać narzędziem obcego imperializmu. W każdym razie nawet ci, co gotowi wierzyć w stopieniu się różnych grup w wielojęzyczną całość, nie powinni życzeń swych brać za rzeczywistość. Tolerancja, pokojowe współżycie, swoboda rozwoju kulturalnego i gospodarczego — owszem, owszem, niemniej jednak trzeba się mieć na baczności i liczyć zawsze przede wszystkim na Polaków, bo na nich spada za każdym razem główny ciężar obrony Polski.

Powojenna Polska będzie polskim państwem narodowym w tym znaczeniu, że żaden inny odłam nie będzie mógł pokusić się o odebranie narodowi polskiemu roli przewodniej. Nie będzie nam obojętne, czy Polacy z Polski emigrują, czy nie. Będziemy się starać ściągnać do Polski jak najwięcej Polaków, a nie mniejszości.

Nie trudno wykazać, że podobnie postępują także te kraje, w których najczęściej się mówi o rzekomo ponadnarodowym czy międzynarodowym charakterze państwa. Dość wskazać na różne zarządzenia na drugiej półkuli w stosunku do Japończyków, na specjalną — nie tylko względami gospodarczymi powodowaną — politykę regulowania imigracji w brytyjskich dominacjach itd.

Niektórzy popełniają ten błąd, że żądają całkowitej bezbarwności państwa w epoce, w której rola państwa wzrasta coraz bardziej. Czy to jest źle czy dobrze, to inna sprawa, ale jest faktem niezbitym, że w bieżącym stuleciu coraz bardziej rośnie wpływ państwa na życie gospodarcze, coraz większy procent dochodu narodowego przechodzi przez kasy państwowe, coraz więcej obowiązków wkłada państwo na jednostkę. Teraz potężnie rozbrzmiewa wołanie o gospodarkę planową. Więc tylko w dziedzinie narodowościowej państwo miałyby zachować zupełną obojętność, ograniczając się do roli "stróża nocnego"?

Powie ktoś, że zainteresowanie państwa problemami narodowościowymi może się przerodzić w politykę ucisku, politykę brutalnego wynaradawiania. Zapewne, to niebezpieczeństwo wszędzie istnieje, a tego nie chcemy, bo Polska powinna być sprawiedliwa dla wszystkich obywateli. Ale z drugiej strony nie można państwa uważać za towarzystwo akcyjne, w którym się ma raz 70, raz 40% udziałów, z którego można w każdej chwili wystąpić i znowu wstąpić, w którym głos na walnym zebraniu zupełnie nie zależy od tego, czy się dla przedsiębiorstwa szereg lat pracowało, czy też je zwalczano.

Polska to nie anonimowe towarzystwo akcyjne. Polska to nie tylko współczesne pokolenie, ale i pokolenia przeszłe z wszystkimi ich zasługami i błędami, z wszystkimi trudami i walkami. Państwo Polskie zbudował naród polski, on je przez długie wieki krwawym wysiłkiem utrzymywał, on w okresie niewoli ofiarnie walczył o odbudowę swego państwa, on wreszcie w naszych czasach dla obrony i wyzwolenia go największe ponosi ofiary, nie szczędząc krwi i potu.

Przy ustalaniu programu na przyszłość należy wziąć pod uwagę doświadczenia z niedawnej przeszłości. Nie ulega wątpliwości, że w polityce mniejszościowej popełniliśmy szereg błędów, które nie powinny się powtórzyć. Pod jakim względem błędziły mniejszości narodowe i w jakim kierunku powinny one zmienić swą politykę, to zagadnienie osobne. Pisząc dla Polaków chcę zająć się tym, co my sami musimy zmienić i naprawić.

Otóż jeśli chodzi o mniejszość najsilniejszą, Ukraińców, to naogół problem ten był niedoceniany. W pewnych kołach uparcie kwestionowano istnienie narodu ukraińskiego względnie kłócono się o nazwę. Od czasu do czasu rozlegały się w prasie alarmy, zwłaszcza gdy tajna O.U.N. wykonała jakiś nowy akt teroru, ale naogół przeciętny Polak nie zdawał sobie sprawy z doniosłości przemian, jakie w południowo-wschodniej części Polski stopniowo się dokonywały. Nie porównywano kierunków rozwoju ruchu ukraińskiego z rozwojem np. żywiołu polskiego w b. zaborze pruskim, nie obserwowano należycie gospodarczej i kulturalnej pracy Ukraińców. Przeczono fakt, że Ukraińcy, stanowiąc kilkanaście procent ludności Polski, byli jedną z najsilniejszych mniejszości na terenie Europy i procentowo byli niewątpliwie silniejsi niż Polacy w Niemczech przed r. 1914.

Drugie zjawisko, które szczególnie rzucało się w oczy, to nieśtałość naszej polityki, zwłaszcza od r. 1926. Rząd prowadził układy z Ukraińcami, co więcej — sprzymierzał się z nimi przeciwko niektórym odłamom społeczeństwa polskiego, a potem przychodziły pacyfikacje. W rezultacie ani nie pozyskano Ukraińców, ani ich nie zastraszone. Niedostateczny rozwój gospodarczy ziem południowo-wschodnich również nie mógł przyspieszyć związania się ludności ukraińskiej z Polską.

Trzy lata wojny obecnej już przyniosły pewne ważne, a trwałe skutki. W pierwszym i drugim roku wojny silnie wzrastała wśród Ukraińców tęsknota za rządami polskimi. To wszystko, na co przed rokiem 1939 narzekali, oburzali się i co zwalczali, zbladło w ich oczach w porównaniu z cierpieniami, jakie na nich spadły.

Okupacja niemiecka nie spełniła nadziei Ukraińców, bo Małopolska Wschodnia nie została zaliczona do ziem ukraińskich, a brutalne rekwizycje i gwałty zraziły wielu Ukraińców. Niemcy jednak mimo wszystko ogromnie dopomogli ruchowi ukraińskiemu. Zakładają i popierają szkoły ukraińskie, wspierają instytucje oświatowe, dbają o wyszkolenie urzędników ukraińskich.

Łącznie zatem przez trzy lata (a to jeszcze nie koniec) trwał taki stan rzeczy, że polskość była osłabiana i zwalczana, natomiast język ukraiński popierany i świadomość ukraińska rozbudzana. Wobec tego tylko maniak mógłby po tej wojnie znowu wracać do stanowiska, że właściwie żadnych Ukraińców nie ma i że powinni się oni uznać za część narodu polskiego.

Program, z jakim zwrócimy się do Ukraińców, wzywając ich do zgodnej współpracy, powinien być dostatecznie wcześniej opracowany i spopularyzowany. Rzecz jasna, że nie wszystko może być zrobione, a tymbardziej ogłoszone podczas wojny. Polska będzie oczywiście prowadzić politykę samodzielną. Współpraca z mniejszościami słowiańskimi powinna być oparta na szerokich podstawach. Ale być może, iż niektóre posunięcia byłyby solą w oku Rosji, z którą przecież chcemy żyć zgodnie. W Moskwie bardzo podejrzliwie i nieprzyjaźnie spoglądano na takie posunięcia polskie, któreby mogły być rozumiane jako próby tworzenia jakiegoś ukraińskiego "Piemontu" celem oderwania Ukrainy naddnieprzańskiej od Rosji. Rzecz jasna, że gazety bolszewickie, które jeszcze śmiały pisać o "wyzwalaniu Ukrainy Zachodniej," byłyby niesłychanie oburzone, gdyby Polacy zaczęli pisać o wyzwoleniu obszarów koło Kijowa i Charkowa. Istotnie, byłby to akt wrogi wobec Związku Sowieckiego, byłby to dowód, że Traktatu Ryskiego, na który się wciąż powołujemy, nie chcemy uznawać za podstawę obustronnych, sąsiedzkich stosunków.

Rządy polskie poczyniły po r. 1918 pewne obietnice i przyjęły pewne zobowiązania co do ziem południowo-wschodnich. Należałoby zbadać, co z ówczesnych planów jest jeszcze aktualne i realne. Być może, że znajdzie się wielu Polaków, którzy powiedzą, że ani Konstytucja z r. 1921 ani nieco późniejsze ustawy językowe ani różne deklaracje z przed r. 1926 już nie będą wystarczające.

Mimo wszystko stwierdzić trzeba, że posunięcia z przed r. 1926 były przemyślane, przedstawiały się poważnie i stanowiłyby daleko lepszą podstawę polsko-ukraińskiego współżycia niż niekonsekwentna polityka sanacji po r. 1926.

Co do mniejszości żydowskiej, to o niej nie można powiedzieć, by w kołach polskich zbyt mało uwagi zwracano na nią. Przeciwnie — istniała raczej skłonność do przeceniania roli Żydów i ich siły liczebnej w Polsce. Wielu Polaków sądziło mylnie, że stanowią oni społeczeństwo bezwzględnie solidarne, prowadzące niezwykle perfidną walkę z resztą ludzkości, podległe jakiemuś tajemnemu, przepotężnemu rządowi. Sądzono, że jest ich w Polsce o wiele więcej niż wykazywała oficjalna statystyka i że ich procent stale wzrasta.

Tak nie było. Spis z r. 1931 wykazał, że procent Żydów w Polsce był niższy niż w r. 1921, a w latach następnych odsetek ten dalej spadał, głównie skutkiem stosunkowo dość silnego udziału Żydów w ruchu emigracyjnym.

Wojna obecna zadała Żydom straty szczególnie bolesne. Ucierpieli bardzo we wrześniu 1939 r. skutkiem bombardowania miast i miasteczek, w których stanowili nieraz niezwykle wysoki procent mieszkańców. Wielu zginęło od kul niemieckich plutonów egzekucyjnych, w więzieniach i obozach koncentracyjnych, tysiące padły ofiarą mściwych mas ukraińskich względnie litewskich, mszczących się za współdziałanie z władzami sowieckimi, a wreszcie tysiącami marli Żydzi w straszliwych ghettach, stworzonych przez Niemców.

Tragiczny był i jest los Polaków pod okupacją niemiecką, lecz faktem jest, że Niemcy postanowili traktować Żydów jak najniższą i najgorszą kastę ludzką. Wyzaczyli dla nich racje żywnościowe o wiele niższe od głodowych racji polskich, odmówili wogóle niektórych produktów, odebrali możność korzystania z wielu przedsiębiorstw użyteczności publicznej. Zburzyli setki świątyń żydowskich, deptali ich uczucia i wierzenia religijne, traktowali zawsze z najwyższą pogardą.

Wszystkie te gwałty i okrucieństwa muszą budzić współczucie dla prześladowanych. Być może, że oddzielenie Żydów od Polaków nie sprzyja upowszechnieniu się tej sympatii. Ghetta są tak szczerlnie zamknięte, tak odcięte od świata, że szerokie masy ludności chrześcijańskiej (zwłaszcza trochę dalej poza ghetta) nie mają należytego wyobrażenia o potwornych stosunkach, jakie tam istnieją. A może zresztą Niemcy rozpuszczają pogłoski, że w tych ghettach właściwie nie jest źle, że mrą z głodu tylko biedni, którym bogaci Żydzi nie chcą odstąpić niczego ze swych obfitych zapasów etc. Kto jednak z bliska przyjrzał się cierpieniom Żydów, ten nie byłby prawdziwym chrześcijaninem, gdyby nie poczuł w sercu uczucia litości dla ofiar, a oburzenia na katów.

Rzecz jasna, że mury ghetta oraz antyżydowskie zarządzenia ustawowe, wprowadzone przez hitlerowców, runą w momencie katastrofy Niemiec. Jest nie do pomyślenia, by naród polski

mógł tolerować dzieła, wyrosłe z tak niechrześcijańskiej nienawiści i pychy rasowej.

Wspólne cierpienie i wspólna walka z najeźdźcą powinny stać się jednym z czynników uniemożliwiających w przyszłości takie zaognienie stosunków, jak na parę lat przed wojną, w latach 1936-38. Zresztą niemały wpływ będą miały przeobrażenia w całej Europie, zwłaszcza w Niemczech. Chociaż bowiem antysemityzm nie był intrygą hitlerowską (w Polsce ożywił się w r. 1931, a więc przed dojściem Hitlera do władzy), to jednak nie da się zaprzeczyć, że niektórzy działacze i niektóre skrajne grupy antysemityczne to i owo zaczerpnęły z propagandy hitlerowskiej, a smutne "zwycięstwa" narodowego socjalizmu w Niemczech dodawały im odwagi.

Hasło ukarania zbrodniarzy wojennych i naprawy krzywd materialnych przez nich wyrządzonych odnosi się naturalnie także do zbrodni wyrządzonych Żydom. Ale niewątpliwie mają słuszną ci uchodźcy żydowscy, którzy oswiają się z myślą, że przywrócenie w całości stosunków przedwojennych jest niemożliwe. Np. trudno przypuścić, by drobny handel chrześcijański, który się tu i ówdzie po wypędzeniu Żydów rozwinął, miał się znowu skureczyć do przedwojennych rozmiarów.

Stosunek Polaków do Żydów po wojnie zależeć będzie w dużym stopniu od postępowania Żydów. Zdaje się, że Żydzi, którzy na skutek wojny znaleźli się pod rządami sowieckimi i zapoznali się dobrze z ustrojem Rosji, będą się czuć całkiem dobrze w Polsce. Wielu innych również, po przejściach wojennych, uświadomi sobie lepiej konieczność istnienia Polski naprawdę silnej. Ci wszyscy powinni stanowić pewną przeciwwagę wobec tendencji zanadto "paneuropejskich" lub wschodnich, które się obecnie zaznaczają.

Po stronie polskiej pożądana jest odpowiednia akcja propagandowa, by każdy Polak dobrze rozumiał, że gwałty popełniane na Żydach potępiać musimy nie dlatego, że Żydzi także walcą z Niemcami, albo że nam to potrzebne ze względów konunkturalnych, bo Żydzi posiadają duże wpływy, lecz dlatego, że stoimy na gruncie etyki chrześcijańskiej, która w każdym człowieku nakazuje widzieć bliźniego.

Będą jeszcze inne mniejszości, znacznie słabsze liczebnie, którym również powinniśmy tu, na tułaczce, poświęcić trochę więcej uwagi. Wogóle powinniśmy podczas tej wojny dużo przemyśleć i dobrze popracować — przygotować.

VIII. JACY WRÓCIMY ?

Uchodźcy, zwłaszcza w Wielkiej Brytanii, wiedzą dobrze, że nie powinni być bezczynni, że mają ważne zadania do spełnienia i że kiedyś staną przed sądem historii jako ta część, a raczej cząstka narodu polskiego, dla której los okazał się stosunkowo bardzo łaskawym. Wiedzą o tym, a jednak ich działalność nasuwa szereg zastrzeżeń.

Być może, że w porównaniu z emigracją 1831 r. obecne rzesze

uchodźców przedstawiają się nie najgorzej. Wtedy kłótni i intryg było więcej niż obecnie, a twórczej pracy niezbyt dużo. Być może, że wśród uchodźców z innych państw jest jeszcze gorzej. To wszystko być może, ale nie możemy się tym uspakajać. Polska znajdzie się po wojnie w szczególnie trudnym położeniu. Bardziej niż kiedykolwiek potrzebować będzie zdolnych mózgów i pięknych charakterów. A zło, na które narzekaliśmy przed r. 1939 i narzekamy jeszcze teraz, wżarło się szczególnie głęboko. Potrzebna jest wielka, gruntowna naprawa.

Na pochwałę współczesnej, chwilowej emigracji stwierdzić należy, iż jest ona daleka od schlebiania sobie. Przeważa, przynajmniej tu, w Wielkiej Brytanii, pogląd, że emigracja przedstawia się nie nadzwyczajnie, ale na szczęście zahartowany w męczeńskiej walce naród wydobędzie z siebie twórcze siły duchowe, które ulecą nasze współczesne choroby.

Skromność uchodźców jeszcze bardziej zasługiwałaby na pochwałę, gdyby z nią nie łączyła się w wielu wypadkach skłonność do rozgrzeszania się i przerzucania całego ciężaru pracy na kraj. Mówi się mianowicie, że skoro jesteśmy tu w Anglii tak niedoskonałym zespołem, to po co się brać do wytyczania dróg i celów powojennej Polski? Otóż w takim rozumowaniu są pewne błędy.

Przed wszystkim emigracja nie jest żadną miarą zbiorowiskiem ludzi najmniej wartościowych. Ci, co we wrześniu 1939 r. przekroczyli granicę, niekoniecznie muszą być uważani za tchórzów. Ot, poprostu widzieli jasno, jak się przedstawia sytuacja wojskowa, nie łudzili się i przeczuwali, jak okrutna będzie okupacja niemiecka. Dalej są masy Polaków, którzy przekroczyli granicę w szeregach wojskowych i ci stanowią ogromną większość. Trzecia grupa — to patriotyczna młodzież, która już po obsadzeniu Polski przez Rosjan i Niemców przekradała się przez kordony, by służyć Ojczyźnie. Wreszcie coraz więcej jest ludzi, którzy cierpieli w rosyjskich więzieniach i obozach, a potem przybyli do Anglii lub na Środkowy Wschód. A więc te masy tułaczy, które widzimy teraz w tyłu krajach Starego i Nowego Świata, to naogół element wartościowy. Nie ulega wątpliwości, że te masy też zdobyłyby się na bohaterstwo i wielką ofiarność, gdyby się znalazły w ogniu, który hartuje i oczyszcza z brudu. Niestety, część uchodźców żyje w warunkach, które mogą się stać dla nich tym, czym Kapua dla armii Hannibala. Emigracja nie jest odpowiednio wychowywana. To też tysiące Polaków marnują czas i pieniądze.

Co do tego wychowywania, to łatwiej zrozumieć brak odpowiedniej akcji w tym okresie, gdy wypadki biegły w zawrotnym tempie, a uchodźcy nie mieli uregulowanych warunków materialnych. Był czas, kiedy przeważało przekonanie, że wojna nie potrwa długo. Ale już w r. 1940 zaczęto przepowiadać, że wojna zakończy się najwcześniej w roku 1942, może w 1943, a może dopiero w 1944. W każdym razie większość uchodźców oswoiła się z myślą, że wojna potrwa długo. A warunki pracy były nie najgorsze, przynajmniej na ziemi brytyjskiej. Naloty niemieckie na Londyn (którymi

niektórzy usprawiedliwiali swe nieróbstwo) ustały prawie zupełnie. Uchodźcy żyli w warunkach materialnych znośnych, wśród otoczenia bardzo życzliwego i kulturalnego. Jednym słowem były możliwości wyczerpanej a twórczej pracy.

Co zostało zrobione? Czy wrócimy lepsi? Cośmy sobie przyswoili: wady czy zalety Anglików?

Otóż byłoby wielką niesprawiedliwością twierdzić, żeśmy ten czas całkowicie zmarnowali. Wielu pracowało pilnie. Do wykorzystywania wolnego czasu wzywano często. Wielu Polaków nauczyło się po angielsku. Niektórzy pogłębili swe studia naukowe.

Naogół jednak uchodźcy nie stanęli na takim poziomie, jaki odpowiadałby cierpieniom kraju. Zamiast zarazić Anglików naszą niecierpliwością, niektórzy z nas zarazili się ich flegmą, a raczej nietyle flegmą, ile powolnością, bo nerwowymi pozostali dalej. Zamiast przyspieszyć brytyjskie tempo wysiłku wojennego, myśmy zwolnili nasze. Powie ktoś, że w danym wypadku wpływ czterdziestu kilku milionów ludzi musiał być silniejszy niż czterdziestu kilku tysięcy. Nie wiem, może — lecz w każdym razie jest to niewesołe. Gdybyżto bowiem były głównie zalety, które sobie przyswajamy!

Zapewne, wielu ludzi — powtórzmy raz jeszcze — pracowało intensywnie. Ale ogólnie biorąc nie wytworzono atmosfery, w której każdy próżniak, karciarz czy pijak czułby się się źle i obco. Nie wytworzyła się atmosfera moralna, w której każdy wstydziłby się przyznać, że zmarnował choć jeden dzień. Nie doszło do tego, by każdy oficer pilnie studiował książki czy mapy, by każdy uchodźca cywilny poza godzinami pracy zarobkowej uczył się, pogłębiając już to znajomość obcych języków, już to wiedzę fachową. Zamiast entuzjazmu do pracy — powoli, stopniowo wytwarza się pęd do reprezentacji, na szczęście nie powszechny jeszcze.

A trzeba dodać, że są rzeczy, których można się nauczyć nie tracąc ani czasu ani pieniędzy. Weźmy punktualność. Czy w trzecim roku pobytu w W. Brytanii nasze odczyty i zebrania rozpoczynają się bardziej punktualnie niż dawniej w Polsce? A wstręt do błagi i krzykactwa? A tolerancja angielska?

Czy uczymy się sztuki oszczędzania? Wszak bogactwo W. Brytanii byłoby znacznie mniejsze, gdyby poprzednie pokolenia nie oszczędzały wytrwale. Wreszcie walka z alkoholizmem.

Z drugiej strony nie można zaprzeczyć, że niejedno się zmieniło na lepsze. Takiego lokajstwa, jakie się rozwielało za czasów sanacji, takiego fanatyzmu partyjnego jak w epoce B.B. i Ozonu, takiego protekcyjizmu i pogardy dla fachowców — teraz bezsprzecznie nie ma. Jest również postęp, jeśli chodzi o urzeczywistnianie hasła sprawiedliwości. Np. stosunek pensji wyższych do niższych jest o wiele bardziej zgodny ze sprawiedliwością niż za czasów słynnego p. Jędrzejewicza, który obciął pensje najniższe, a podwoił najwyższe. Ale wciąż musimy pamiętać, że jest to wojna niezwykle ciężka, że potrzebny jest wielki, tytaniczny wysiłek, że celem usunięcia spustoszenia moralnego, które spowodował system

sanacyjny, trzeba żądać — i dawać z siebie jak najwięcej idealizmu, poświęcenia, ofiarności.

Nie wolno obniżać wymagań w stosunku do uchodźców w Anglii. Należy od nich żądać nauki, pracy, surowego życia, ofiarności w służbie narodowej.

Poza naszymi zakorzenionymi wadami narodowymi są jeszcze pewne szczególne okoliczności, na skutek których wysiłek emigracji pozostawia dużo do życzenia. A więc najpierw ponure wieści z Polski. Przeciętny uchodźca, mający rodzinę w kraju, traci pogodę ducha i chęć do pracy, jeśli zaczyna wątpić, czy po powrocie zostanie jeszcze przy życiu kogoś z rodziny. Prawda, że wieści z Polski są smutne, gwałty niemieckie bardzo liczne, a propaganda musi spełniać zadanie, jakie jej przypada. Mimo to należy hamować jednostki, lubujące się w malowaniu rzeczywistości w najczarniejszych barwach.

Jeśli jedni wątpią, czy będzie dla kogo pracować, to drudzy znowu nie wiedzą, w jakim kierunku pracować. Ulegają wpływom tych, co głoszą, że świat ulega jakimś niesłychanym, rewolucyjnym przemianom i że to, co przyjdzie, w niczym nie będzie przypominać Europy z przed 1939 r. A skoro tak — wnioskujeją niektórzy — to po co przygotowywać jakieś plany lub organizacje? Tak się rozgrzeszywszy, czekają — i to czasem całkiem bezczynnie.

Są to jednak powody drugorzędne. Główne tkwią w naszych wadach narodowych, których pozbyć się bardzo trudno. Lekomyślność, niesystematyczność, kłótniwość — oto niektóre z nich.

Wstrząs duchowy, spowodowany katastrofą wrześniową, nie był — przynajmniej, jeśli o uchodźców chodzi — tak silny i zbaWienny w skutkach, jak by pragnąć należało. Pewne zakorzenione pojęcia, sposoby myślenia i sympatie utrzymują się z dziwną uporczywością. Na tle zrozumiałej zresztą nostalgii powstaje skłonność do idealizowania Polski przedwojennej, do niesłuchania łagodnego osądzania błędów i wad ówczesnego systemu.

Jesteśmy wszyscy zdecydowani nie dopuścić do powtórzenia się tych błędów, które do katastrofy doprowadziły. Ale nie wystarczy chcieć, trzeba dobrze wiedzieć, na czym te błędy polegały. Trzeba gruntownie zbadać nasze najnowsze i dawne dzieje. Trzeba podnieść poziom wyrobienia politycznego, który po r. 1926 bardzo się obniżył.

Pogłębienie znajomości historii powinno również przyczynić się do obalenia pokutującego jeszcze tu i ówdzie poglądu, że "polityka to fałszywa gra." Nie będzie dobrze, jeśli nie utwierdzi się przekonanie, że wbrew etyce nie można pożytecznie służyć Ojczyźnie. Wprawdzie pozornie ogół się na to godzi, niemal wszyscy deklamują o konieczności oparcia naszego życia zbiorowego na fundamentach etyki chrześcijańskiej, ale w rzeczywistości uchylają się od jej nakazów, gdy trzeba słowa przemieniać w czyn, a są i tacy, co właściwie nie wiedzą, na czym etyka polega.

Szczególnie niebezpieczne byłoby upajanie się kłamstwami, schlebiającymi naszej dumie narodowej i zatrucie się nienawiścią.

Niechaj nikt nie mówi, że podczas wojny etyka jest nieaktualna. Sobie zaszkodzimy, a nie wrogom, jeśli w nasze serca wpajając będziemy jad nienawiści. Wyładuje się ona w naszych polemikach, w naszych walkach wewnętrznych. Nie wzniosą życia politycznego na wyższy poziom ci, co z kpinami lub ze złością mówią o rycerskości w walce i o miłości bliźniego.

Do hitleryzmu zastosować można piękne słowa, jakie przed laty dwudziestu napisał Eugeniusz Małaczewski ("Koń na wzgórzu") o bolszewizmie:

"Zali tę, zionącą na wszystek świat, przepaść zdziczenia i nienawiści, której na imię bolszewizm, my "obroncy cywilizacji i chrześcijaństwa" zdołamy zasypać, jak faszyną, jedynie gruzem polskich ciał, pozbawionych ducha wyższego niż zły duch w przepaści się miotający? Czymś zasadniczo innym stać się musimy. Bo kto by chciał nienawiść i zło złem zwalczać a nienawiścią, niech pamięta, że wielką nienawiść zwalczy tylko od niej większa, zaś zło wielkie może być pożarte jeno przez zło od wielkiego większe."

Kształcenie i wychowywanie uchodźców jest tym bardziej konieczne, że rozproszeni są po kilkunastu krajach, wobec czego z natury rzeczy ulegają najrozmaitszym wpływom. Np. parę tysięcy ludności polskiej żyje jeszcze na Węgrzech. Jest rzeczą możliwą, że wśród tych ludzi silniejsze będą sympatie prowęgierskie niż pro-czeskie. Ich stosunek do antysemityzmu może być trochę inny niż tych Polaków, co parę lat spędzili w Palestynie. Polacy żyjący we Francji wrócą z własnym, swoistym poglądem na przemiany, jakie się tam dokonują. Polacy internowani w Szwajcarii, przeważnie w kantonach językowo niemieckich, bardziej niż inni zetkną się z niemiecką nauką i literaturą.

To ma oczywiście swoje dobre strony, że uchodźcy wrócą z różnych krajów i różne wniosą pojęcia. Nie o to chodzi, by wszyscy myśleli całkiem jednakowo. Trzeba jednak pragnąć, by zakres wspólnych pojęć i poglądów był dość szeroki. To nie wystarczy, że wszyscy pragną kłęski Niemiec i odbudowy potężnej Polski. Należy dążyć do tego, by mimo różnic politycznych, które istnieją, udało się jeszcze podczas wojny, w okresie tułaczki, jak najwięcej uzgodnić, ustalić, a przynajmniej gruntownie zbadać i przedyskutować. Niestety, istnieje silna tendencja do odkładania wielu rzeczy na później, na okres powojenny, kiedy cały naród zabierze głos.

A przecież naród będzie nam, uchodźcom, wdzięczny za wszystkie pożyteczne prace i przygotowania. Kraj zadecyduje, a więc odrzuci co zechce, zatwierdzi, co uzna za wskazane. Ale kraj ma do nas zaufanie i spodziewa się, że dużo zrobimy. Może nawet oczekuje od nas wskazówek, wiedząc, że spędziliśmy parę lat w kraju bardzo kulturalnym, wśród narodu gospodarnego a oszczędnego, o wysokim poziomie wyrobienia politycznego.

Nie zachodzi niebezpieczeństwo rozminięcia się z dążeniami mas polskich w kraju. My bowiem, uchodźcy, jesteśmy kością z kości i krwią z krwi polskiej. A stanowimy masę tak dużą, że w niej

ujawniać się muszą wszystkie ważniejsze kierunki polityczne. Ważna różnica polega na tym, że polskie zbiorowisko w Anglii żyje — z pewnymi wyjątkami — w dobrych warunkach materialnych i że jest tu dużo przedstawicieli dawnego systemu rządzenia. Dało się już zauważyć, że ci, co nie spędzili ani paru miesięcy pod okupacją, trudniej pojmują ogrom nędzy w Polsce, a może nawet czasem mniej są hojni na cele narodowe niż ci, co widzieli gospodarkę okupantów albo wrócili z Rosji. Są jeszcze inne, naogół drobne różnice. Naogół jednak, jeśli chodzi o stosunek do obu głównych sąsiadów, Niemiec i Rosji, do Czechów i Litwinów, do mniejszości narodowych, jeśli chodzi o stosunek do zagadnień ustrojowych i reform gospodarczych, o zapatrywania na granice Polski i jej rolę w nowej Europie — w tych wszystkich sprawach poglądy w kraju i na tułaczce kształtują się dość podobnie. Z prasy tajnej okazuje się, że różnice poglądów, które nas dzielą, przejawiają się także w kraju i tak samo zaznaczają się różne obawy, nadzieje, przewidywania.

Obawiam się, że dopiero po powrocie do Polski spostrzeżemy, o ile więcej mogliśmy zrobić na wygnaniu, ileśmy zmarnowali czasu i pieniędzy. Co zaś napewno dopiero po wojnie uświadomimy sobie w całej pełni, to zalety naszych obecnych gospodarzy. Gdy się znowu z bliska zetkniemy z narodami już to nam wrogimi, już to niechętnymi, gdy w walce gospodarczej spotkamy się z nieuczciwymi, podstępными metodami, gdy ujrzemy ludy nie umiejące należycie korzystać z wolności ani kierować się prawem, wtedy lepiej ocenimy prawość i wielkoduszość Brytyjczyków, a nasza wdzięczność jeszcze bardziej się utrwali. W ogniu własnych wewnętrznych walk politycznych, w trudnej pracy nad ugruntowaniem naszych form ustrojowych i utrwaleniem parlamentaryzmu, w atmosferze walk klasowych, w nieustannym, codziennym wysiłku w kierunku podniesienia poziomu wyrobienia obywatelskiego, wtedy zrozumiemy, na jak rzadkie było nam dane patrzeć zjawisko: wielki naród, który prowadzi wojnę totalną nie pozbawiając się własnej wolności, słucha karnie rządu nie stosującego żadnego terroru, prowadzi propagandę, lecz brzydzi się kłamstwem i wciąż całej prawdy żąda, pracuje i oszczędza, by bez szemrania dobrowolnie w formie pożyczek lub darów składać miliardy na armię, flotę i lotnictwo, naród naprawdę wierny swym przyjaciółom, gościnnie, szlachetny.

Spostrzegłszy to wszystko jeszcze bardziej żałować będziemy, żeśmy się czegoś więcej w Anglii nie nauczyli.

Nie jest jeszcze za późno. Jeszcze dużo wody w Tamizie upłynie nim się wojna skończy. Jeszcze jest czas na to, by zwiększyć sumę własnej pracy, a w ten sposób więcej przyczynić się do zwycięstwa, więcej skorzystać i mniej rozczarowań zgotować Polsce, która od nas tyle się spodziewa.

IX. NASTROJE KRAJU.

Narody zmieniają się bardzo powoli, a katastrofy burzą, ale niczego nie budują. To też katastrofa wrześniowa dużo zburzyła,

ale trzyletni okres, który po niej nastąpił, ani nie był tak długi, ani nie mógł być przez cierpiący naród tak dobrze wyzyskany, by mogły się dokonać jakiegoś wielkie i zasadnicze przemiany duchowe. Łatwiej więc określić, jaki jest stosunek kraju do niedawnej przeszłości niż do przyszłości.

W katastrofie pada zawsze to, co sztuczne. W Polsce runął więc system sanacyjny, który został Polsce narzucony siłą i utrzymywał się dzięki gwałtom i oszustwom. Sąd społeczeństwa o tym systemie jest zdecydowanie ujemny i takim pozostanie.

Główni winowajcy lepiejby zrobili, gdyby się nie spieszyli z powrotem do kraju. Niech nie liczą na to, że po upadku Francji naród zupełnie zmienił swój pogląd na przyczyny katastrofy. Prawda, że od połowy 1940 r. naród lepiej rozumie, dlaczego Polska nie była należycie uzbrojona. Teraz wszyscy wiemy, jak olbrzymich zasobów gospodarczych i ile sprzętu potrzeba do wojny.

Ale przecież gdy chodzi o sanację, to naród zarzuca jej nie tylko to, że sprzętu mogło być trochę więcej. Oskarża się ją o to, że nawet te zasoby, którymi kraj rozporządzał, nie były w całości wyzyskane i rozdzielone, że nie było broni dla ochotników, ale były samochody dla zmykających niepionów, którzy tak hałaśliwie deklamowali o walce do ostatniej kropli krwi. Oskarża się winowajców o to, że naród okłamywali, że wbrew jego woli prowadzili przez szereg lat politykę ryzykancką i głupią.

To prawda, że spór o przyczyny katastrofy zszedł chwilowo na dalszy plan. To pewne, że przy powrocie w dniach bezbrzeżnej radości z odzyskania wolności, nikt nikogo nie będzie pytał, czy był w B.B. i Ozonie czy nie. Ale skutki katastrofy wrześnieowej trwać będą długie lata i będą bardzo dotkliwe, więc masy sobie nieraz będą przypominać, kto to katastrofę spowodował. A zresztą niektórzy winowajcy zapewne sami się przypomną, bo sądząc z ich zachowania się na tułaczce, trudno przypuszczać, by po wojnie siedzieli taktownie i cicho. Naród więc niewątpliwie zażąda, by ich pociągnąć pod sprawiedliwy sąd.

Tak być powinno. Trzeba bowiem wprawdzie po wojnie rozpocząć od szerokiej amnestii, trzeba wrócić z sercem wolnym od nienawiści do przeciwników politycznych, trzeba należycie ocenić tych, którzy w czasie wojny pracą i walką dawne swe winy mazali. Ale z drugiej strony zbrodnie nie mogą ujsć bezkarnie. Trzeba, żeby nie mówiono, że w XVII wieku uszedł bezkarnie bunt Zebrzydowskiego, a później Lubomirskiego, a w XX wieku odrodzona Rzeczpospolita znowu puszczała płazem deptanie prawa.

To też należy przynajmniej 50 winowajców z urzędu pociągnąć pod sąd. O ich nazwiskach i przestępstwach będzie czas mówić po wojnie, nie tu wobec obcych. Ale niewątpliwie ten smutny rozdział naszej historii dobrze byłoby zamknąć jak najwcześniej, by potem już całą uwagę zwrócić ku przyszłości.

Kraj już obecnie też myśli o przyszłości. Warunki jednak nie sprzyjają rozwojowi ideologii i programów. Jest to rzeczą co najmniej sporną, czy wielkie idee powstają na podłożu powszechnej

nędzy i niewoli. Programy reform obmyślają nieraz jednostki materialnie niezależne i dlatego wolne od ciężkiej pracy i troski o chleb codzienny. W dzisiejszej zaś Polsce troska o ten chleb, o zaspokojenie najelementarniejszych potrzeb życiowych tak przytłacza przeciętną jednostkę, że doprawdy brak czasu i ochoty do rysowania drobiazgowego planu gmachu nowej Polski.

Zbiedniałe, sproletaryzowane masy — to potencjalna armia rewolucyjna, to proch, który wybuchnie, jeśli padnie iskra idei. Ale tą ideą jest teraz odzyskanie wolności. Tak ciężkie, tak smutne jest położenie szerokich mas, że już sam powrót wojsk i władz polskich jest wspaniałym, wysnionym ideałem. Mniejsza o to, jaka ta Polska będzie — mówi wielu, bardzo wielu — byle znów powstała, byle była wolna i sprawiedliwa. Oto główna tęsknota, oto marzenie, którym krzepi się serce w tych, jakże długich latach stałej, codziennej walki o byt, o dach nad głową, o chleb, o odzież, o opał na zimę. Te kłopoty zajmują o wiele więcej miejsca w życiu przeciętnego Polaka niż to niektórzy tu, w Anglii, przypuszczają.

Naturalnie są także chwile, kiedy Polak puszcza wodze wyobraźni i myśli o tym, jak Polska powinna być urządzona po wojnie. Nie brak też w kraju ludzi, którzy o budowie nowej Polski systematycznie myślą i planowo się do niej przygotowują. Ale rozpowszechnianiu ich idei stoi na przeszkodzie okrutny teror niemiecki. Bez wolności prasy i stowarzyszeń trudno w dzisiejszych czasach kształtować ideologię mas. Prawda, że istnieje prasa tajna, o której zasięgu i oddziaływaniu ze zrozumiałych względów niewiele można powiedzieć, że nie wszystkie organizacje istnieć przestały, lecz cóż to wszystko jest w porównaniu z tymi tak licznymi a potężnymi środkami urabiania psychologii mas, które widzieliśmy przed wojną.

Ta praca myślowa w kraju przechodziła różne fazy. Bardzo żywa była tuż po katastrofie. Wtedy najwięcej mówiono o błędach sanacji, najmocniej piętnowano winowajców. Bolesnie dotknięta była duma narodowa, wstrząśnięte zostały fundamenty politycznego programu wielu jednostek. Później ból jakby trochę zelżał. Kraj zastygł w oczekiwaniu wielkich zwycięstw nad Renem, które miały przynieść Polsce wolność. Przyszły niestety gorzkie rozczarowania. Potem znów — zależnie od sytuacji militarnej — chwilami wzbierały fale optymizmu, by następnie opaść przejściowo. Wiary w zwycięstwo nigdy kraj nie tracił, ale te rozczarowania zniechęcały do kreślenia szczegółowych planów i uczyły ostrożności. Okazywało się przecież, jak to trudno coś przewidzieć, jak rozszerza się i zmienia plac boju. Kraj zatem uzbraja się w cierpliwość, przygotowuje się do zrzucenia kajdan i coraz bardziej zespala się w cierpieniu.

Kraj jest zjednoczony, bo cały stanął do walki z najeżdżącą, a prześladowania spadły na wszystkie warstwy i wszystkie dzielnice. Różnice w nastrojach nie są wielkie. Np. we wschodniej Polsce nienawiść do komunizmu jest obecnie najsilniejsza, ale i centralne oraz zachodnie województwa nie chcą słyszeć o tym systemie niewoli.

Coraz bardziej zacieraają się dawne odrębności dzielnicowe. Mieszkańcy Łodzi i Poznania jednakowo cierpią pod rządami krwawego Greisera, tysiące Ślązaków znalazły schronienie w Małopolsce i Kongresówce, z wcielonych do Rzeszy powiatów woj. krakowskiego wielu ludzi wywieziono do wschodniej części b. Kongresówki. Ludzie poznają się coraz lepiej, znikają resztki dawnych uprzedzeń.

W nie mniejszym stopniu zmniejszają się przeciwieństwa klasowe. Prześladowania na terenach wcielonych bezprawnie do Rzeszy zniszczyły polskie ziemiaństwo, bogatszych kupców i inteligencję. Wszędzie, w całej Polsce, decyduje wola niemiecka, wszystkie ważniejsze placówki stoją pod ich nadzorem i doprawdy trudno teraz mówić o polskich wyzyskiwaczach. Są grupy ludzi, którym się dobrze powodzi, np. właściciele sklepów spożywczych-Ci, co pospiesznie dorabiają się majątku, wyzyskując fatalną sytuację aprowizacyjną, ściągają na siebie gniew i oburzenie ogółu. Trafiają się też i w innych zawodach ludzie niesumienni, chciwi, bogacący się jeszcze i teraz z krzywdą ogółu. Naogół jednak panuje bieda i nędza. Każdy jest świadom, że jutro może znaleźć się na bruku. Stąd większe niż dawniej zrozumienie doli biednych i większa solidarność. Wielu, bardzo wielu Polaków zginęłoby z głodu, gdyby nie litościwe serca polskie, co wzruszyły się losem wysiedlonych lub wyrzuconych z pracy.

Wzrosła religijność. Nie wszędzie jest tak żarliwa, jak wśród wysiedlonych na Sybir, ale w całej Polsce ludzie szukają w kościołach słów pocieszenia i nadziei. W Polsce zachodniej wiele parafii opustoszało, są okolice, w których niema ani jednego księdza polskiego, ale przecież Kościół trwa i wraz z masami walczy o lepsze jutro. Duchowieństwo poniosło bardzo ciężkie straty, a z tych, co jeszcze teraz siedzą w więzieniach i obozach koncentracyjnych, nie wszyscy powrócą. Zahartowane w ogniu prześladowań duchowieństwo zyskało na szacunku i odegra doniosłą rolę w odbudowie naszego życia społecznego.

Ogólnie biorąc, postawa społeczeństwa jest dobra. Słusznie budzi podziw jego niezłomna wiara w zwycięstwo i gotowość znoszenia jeszcze dalszych cierpień, byle Polska wstała wolna i potężna. Teror czasem łamie słabszych duchowo, ale silnych hartuje. Niewątpliwie powiększy się ilość jednostek moralnie wyżej stojących od przeciętnego Polaka w W. Brytanii. Można mieć nadzieję, że będzie ich dużo, aczkolwiek Gestapo szaleje i coraz więcej wybitnych, szlachetnych Polaków ginie w obozach koncentracyjnych, zwłaszcza w Oświęcimiu.

Słusznie żywimy głęboką cześć dla cierpiących rodaków. Trzeba jednak pamiętać, że wojna sama przez się nie uszlachetnia, nie oczyszcza żadnego narodu. Podczas wojny we wszystkich krajach ludzie uczą się oszukiwać, kraść, mordować. A jeśli o Polskę chodzi, to nienormalne, sprzyjające demoralizacji i niszczące poczucie prawa warunki życia pod okupacją pozostawiają jednak pewne ślady, mimo że ludność polska broni się przed tą hitlerowską trucizną.

Niema żadnego obozu germanoflskiego i niema chęci wzorowania się na Niemcach. To też wpływ hasel hitlerowskich nie będzie silny. Polacy nie chcą stykać się z najeźdźcami, władze niemieckie ze swej strony zakazują zbliżania się do "niższej" rasy. Polacy jednak mieli oczywiście dość czasu i sposobności do obserwowania Niemców i badania, na czym polega ich siła, a na czym słabość. Zauważyli, że umieją pracować, że są solidarni, że w polu biją się dobrze. Ale zarazem nasi rodacy zauważyli, że ich skłonność do organizowania wytwarza istny labirynt biur, instytucji, organizacji, że nieraz sami pogłębiają bałagan, że wśród przedstawicieli tej "najwyższej" kultury nie brak nieuków oraz łapowników i geszefciarzy, że mimo stalowej obręczy partyjnej naród niemiecki nie jest ideowym monolitem, że brutalny system barbarzyńskich prześladowań przysparza samej Rzeszy zdziwiających sadystów i terrorystów.

To też nie z Niemiec, ale chyba z Anglii chce kraj brać przykład. Dlatego liczy na uchodźców, dużo się po nich spodziewa, bo oni Anglię poznali. Z oddali nie widać drobnych skaz i braków, to też nad Wisłą patrzą na Anglię jak na wspaniałą posąg, jaśniejący światłem wolności i prawa. Widzą w niej potęgę, która po upadku Francji przez rok walczyła sama, która stała się wielkim arsenałem i już nie tylko na morzu, ale i w powietrzu góruje nad Niemcami. Kraj rozumie wartość sojuszu z W. Brytanią i chciałby, by trwał on jak najdłużej.

Kraj wie oczywiście, że nie możemy kopiować obcych wzorów, lecz musimy sobie urządzić dom ojczysty według własnych potrzeb i upodobań. Istnieje przekonanie, że po tej wojnie Polska powinna zrobić duży krok naprzód, że potrzebne są śmiałe reformy gospodarczo-społeczne, choć mało kto zastanawia się, jak je urzeczywistnić. Jak dotąd uwaga społeczeństwa zwraca się głównie ku zagadnieniom polityki zagranicznej, a mianowicie ku sprawie granic i zabezpieczenia pokoju.

Jest rzeczą godną uwagi, że kraj wcale nie przecenia swej roli. Wie, że cierpi i to bardziej niż inne narody pod okupacją niemiecką, wie, że jego opór krzyżuje plany Hitlera, ale nasi rodacy wcale nie uważają się za bohaterów i nie zamierzają żądać za to specjalnej nagrody. To, co robili i robią, uważają za rzecz całkiem naturalną, za prosty, bezsporny obowiązek. Co więcej — niektórzy odczuwają wyrzuty sumienia, że są beczynni, że pracą swą wbrew swej woli wzmacniają gospodarczy potencjał Niemiec, względnie — gdy chodzi o akcję sabotażową — że zbyt mało szkodzą wrogowi. A prasa tajna, która otwarcie i ostro potępia pewne ujemne zjawiska (np. sprzedawanie żywności po cenach lichwiarskich) nie schlebia społeczeństwu i dlatego nie wzbija go w dumę. Wydaje się, że również ci, co wyjdą z więzień i obozów koncentracyjnych, nie będą płać ambitną żądzą dościsca do władzy w imię poniesionych ofiar.

W tym stanie rzeczy nie zanosi się na to, by w chwili powrotu kraj miał z góry spoglądać na uchodźców i z lekceważeniem odtrącać

to, co oni przygotują. Radośnie witany będzie rząd. A jeśli o gen. Sikorskiego chodzi, to kraj zgotuje mu chyba przyjęcie równie serdeczne, entuzjastyczne, triumfalne — jak po wojnie poprzedniej Paderewskiemu.

W pierwszych radosnych miesiącach po wyzwoleniu najłatwiej będzie o kompromisy i najwięcej będzie zaufania do tego programu, z jakim przyjedzie emigracja, o ile wogóle z jakimś programem powróci. Później, w miarę tego jak uchodźcy, wznawiając stare kłótnie i nawzajem wypominając sobie własne grzeszki, będą obniżać swój autorytet (w tym wypadku nie jest to słowo najszcześniejsze), dalej w miarę tego, jak kraj będzie mobilizował swe siły intelektualne, z każdym tygodniem emigracja będzie schodzić na drugi plan, a coraz bardziej zaznaczać się będzie wola mas. Naród będzie, po tylu ciężkich przejściach, bardziej ostrożny w stosunku do rządzących. Mniej będzie zaufania do słów, nie popartych czynami, mniej cierpliwości w czekaniu na spełnianie obietnic, więcej krytyki i sprzeciwów w razie nowych błędów przy odbudowie państwa.

X. POWRÓT DO KRAJU I ODBUDOWA.

Odbudowę inaczej trzeba będzie zaczynać, jeśli wojska polskie w walce dojdą do Polski i jeśli stanie się ona raz jeszcze terenem walk, a inaczej, jeśli cały lub prawie cały obszar Polski przejdzie odrazu pod władzę polską na skutek załamania się potęgi niemieckiej na frontach dość odległych od Warszawy. Tak było w r. 1918 i również obecnie ta druga ewentualność jest bardziej prawdopodobna.

Jest jeszcze inna możliwość. Ziemie polskie mogłyby być przed zakończeniem wojny terenem krwawych walk z Niemcami na wielką skalę, terenem powstania. Niewątpliwie, jeśli wojny nie będzie można żadną miarą wygrać bez wzniesienia powstania w krajach nawet dalekich od frontu, to będziemy musieli pragnąć, by takie powstanie wybuchło także i w Polsce. W zasadzie jednak walczyć powinny uzbrojone wojska, a nie bezbronna ludność. Żołnierze mają pewne szanse, że w razie dostania się do niewoli będą mogli korzystać przynajmniej z niektórych postanowień prawa międzynarodowego. Na ludności cywilnej Niemcy mszczą się bezlitośnie, mordując 50 Polaków za 1 Niemca. Walka zbrojna, chociażby tylko kilkutygodniowa, spowodowałaby wielkie zniszczenia i utrudniłaby odbudowę.

Planowa odbudowa rozpocznie się tym razem szybciej niż w r. 1918, bo szybciej wrócą wojska polskie i szybciej zostaną zorganizowane władze. Mamy już za sobą drogę opłacone doświadczenia. Wiemy, co było rzeczą najważniejszą z końcem 1918 r., gdy również cała Polska znajdowała się pod władzą Berlina i Wiednia, wiemy również, czego Polska najbardziej będzie potrzebować.

Po tamtej wojnie wojska polskie dążyły do kraju kolejami, a głównym środkiem rozpowszechniania wiadomości był druk.

Teraz wejdą w grę także samoloty i radio, co powinno ogromnie skrócić okres nieuniknionego zamętu politycznego i wstrząsów gospodarczych.

Puśćmy wodze fantazji i zastanówmy się, jakby to mogły wyglądać pierwsze dni po załamaniu się Niemiec i przerwaniu walki. Z pewnością będzie trochę inaczej, ale spróbujmy wyobrazić sobie coś konkretnego.

A więc *1-szy dzień*. Oddziały polskich wojsk lotniczych lądują na Okęciu pod Warszawą i w Rakowicach pod Krakowem. Za pomocą obsadzonych radiostacji nawiązują łączność z Londynem. Niemcy gromadzą się w głównych punktach obronnych, z których mają uciec do Rzeszy.

2-gi dzień. Na wspomniane wyżej lotniska przybywają dalsze oddziały, przewiezione samolotami transportowymi. Ogłasza się odezwę do ludności. Z napływających ochotników tworzy się nowe formacje wojskowe. Przylatują wyżsi urzędnicy Min. Spraw Wewn. i wydają pierwsze zarządzenia celem zabezpieczenia ładu i porządku. W całym t. zw. Generalnym Gubernatorstwie koleje przechodzą w ręce polskie. Silne strażę zabezpieczają magazyny i sklepy żywnościowe przed grabieżą.

3-ci dzień. Ucieczka Niemców samochodami trwa dalej. Władze polskie przejmują poczty. Pierwsze oddziały polskie zjawiają się w Łodzi, Lwowie i kilku innych miastach, rozporządzających lotniskami. Radiostacje ogłaszają zarządzenia Min. Spraw Wojskowych o mobilizacji paru roczników. Ludność niszczy mury ghetta. Z różnych stron kraju nadchodzą wieści o zemście pokrzywdzonych na Niemcach. Władze ogłaszają apel przeciwko jakimkolwiek samosądom i porachunkom politycznym. Przybywają delegaci Min. Skarbu, obejmują kontrolę nad Bankiem Emisyjnym w Krakowie, wydają pierwsze zarządzenia przeciw spekulacji walutowej. Władze polskie prowadzą rozmowy z Niemcami w sprawie technicznego zorganizowania transportów jeńców i robotników polskich z Niemiec oraz przejazdu żołnierzy niemieckich z Rosji przez terytorium Polski.

4-ty dzień. Przylatują delegaci Min. Sprawiedliwości. W więzieniach, przejętych całkowicie przez władze polskie, umieszcza się Niemców i osoby podejrzane o wysługiwanie się im celem zabezpieczenia ich przed zemstą ludności. Radio i plakaty ogłaszają pierwsze zarządzenia co do zwrotu mienia. Władze wprowadzają w życie ustawę o zniesieniu wszystkich zarządzeń antyżydowskich wydanych przez Niemców. Napływające wciąż oddziały polskie obsadzają dalsze tereny, tu i ówdzie łamiąc siłą opór Niemców.

5-ty dzień. Oddziały polskie drogą powietrzną i samochodami zdążają do Wilna. Prasa ogłasza nazwiska nowych wojewodów. Przybywają delegaci Min. Przemysłu i Handlu. Ogłoszenie pierwszych zarządzeń w sprawie zabezpieczenia fabryk państwowych oraz zwrotu fabryk, zagrabionych właścicielom. Do Poznania przybywają pierwsze transporty jeńców, wypuszczonych z Niemiec. Władze ogłaszają wezwanie do kontynuowania codziennej pracy i

wzywają wszystkich kierowników spontanicznych ruchów powstańczych, by jak najprędzej nawiązali łączność z legalnymi władzami.

6-ty dzień. Polskie kontrtorpedowce dopływają do Gdyni. Obsadzanie wybrzeża morskiego. Do Małopolski Wschodniej idą nowe oddziały, zarówno z formacji przybyłych z zagranicy, jak świeżo utworzonych w kraju. Apel do ludności, by nie zmieniała raptownie a masowo miejsca zamieszkania. Przybywają delegaci Min. Opieki i wydają pierwsze zarządzenia w sprawie reorganizacji ubezpieczeń społecznych. Władze nakazują rejestrację zapasów. Kary na spekulantów. Obsadzanie granic, zaostrzenie kontroli celem uniemożliwienia wywozu dewiz, złota etc. W kościołach sprofanowanych przez Niemców odbywają się nabożeństwa ekspiacyjne.

7-ty dzień. Odezwa do ludności ukraińskiej wzywająca do zgodnego współżycia z Polakami, rozwiązania formacji wojskowych utworzonych przez Niemców, wydania Niemców ukrywających się przed władzami polskimi etc. Zarządzenia sanitarne celem zapobieżenia szerzeniu się epidemii. Pierwsze okólniki podatkowe. Władze przygotowują repatriację jeńców angielskich, francuskich i rosyjskich, znajdujących się na terenie Polski. Otwarcie lotniczej linii pasażerskiej: Warszawa - Londyn. Władze wojskowe przeprowadzają rejestrację materiału wojskowego, pozostawionego przez Niemców i dostosowują produkcję przemysłu zbrojeniowego do potrzeb armii polskiej.

8-my dzień. Tworzenie Straży Granicznej postępuje naprzód. Delegaci władz polskich odjeżdżają do Niemiec celem odszukania więźniów polskich, wywiezionych do obozów koncentracyjnych. Do Gdyni i Gdańska przybywają pierwsze polskie okręty handlowe. Podwyżka płac w urzędach państwowych, utrzymywanych przez Niemców na głodowym poziomie. Rozdzielanie aparatów radiowych, odebranych Niemcom. Tworzenie biur celem rejestracji szkód wojennych. Segregacja podejrzanych Niemców w obozach internowanych i więzieniach. Odsyłanie zwolnionych kobiet i dzieci niemieckich. Delegaci Min. Oświaty uzgadniają prace nad wskrzeszeniem szkolnictwa wyższego.

9-ty dzień. Władze ogłaszają zarządzenia w sprawie zamierzonego przydzielania najuboższej ludności artykułów pierwszej potrzeby darmo lub po cenach ulgowych. Utworzenie Izby Handlowej Polsko-Czechosłowackiej. Odezwa do rolników w sprawie wydatnego zwiększenia produkcji rolnej. Utworzenie biur regionalnych celem dokładnego zestawienia wszystkich okrucieństw okupantów. Zarządzenia w sprawie wypłacania wsparć i rent ofiarom teroru.

10-ty dzień. Prezydent Rzeczypospolitej i ministrowie przybywają do Warszawy. Pierwsze posiedzenie Rady Ministrów w stolicy. Zapowiedź amnestii, obejmującej przestępstwa mniejszej wagi, popełnione w okresie okupacji niemieckiej i sowieckiej. Dekret w sprawie wznawiania stowarzyszeń, rozwiązanych przez okupantów. Otwarcie głównych muzeów i bibliotek polskich dla użytku publicznego.

Cały ten obraz wydarzeń jest coprawda dość optymistyczny. W roku 1918 nawiązywanie stosunków z Zachodem szło powoli i wydatna pomoc nadeszła dość późno. Tym razem jednak przy odpowiedniej energii z naszej strony, ze strony uchodźców, zagadnienie może być rozwiązane wcale szybko. Jest jeszcze ta różnica, że w chwili zakończenia poprzedniej wojny w rękach polskich znajdowały się ważne stanowiska administracyjne zarówno w Kongresówce jak Małopolsce. Teraz tego nie będzie. Z drugiej strony jednak jesteśmy teraz bogatsi w doświadczenia i posiadamy kadry pracowników, wyszkolonych w ciągu ubiegłych dwudziestu lat.

Ogólnie biorąc odbudowa będzie postępować tym łatwiej, im bardziej przestrzegana będzie zasada ciągłości prawnej. Rząd Polski z góry stwierdził, że zarządzenia okupantów są nieważne i pozbawione mocy prawnej, jednakże niektóre z nich muszą być usunięte specjalnymi aktami prawnymi, aby nie powstał chaos. Np. jeśli o podatki chodzi, to jest rzeczą wątpliwą, czy podatnik ma czekać, aż nowe władze wymierzą podatek według polskich ustaw, a nie uznawać zupełnie wymiaru dokonanego przed upadkiem panowania niemieckiego. Rzecz inna, że podatnicy będą mieli prawo wystąpić o wynagrodzenie szkód, spowodowanych krzywdzącymi decyzjami urzędników niemieckich. Jeśli chodzi o ubezpieczonych, to oczywiście nie powinny im przepaść przymusowo ściągane składki, a również ci, którym część należitości wypłacano w niemieckich bonach lub lokowano w bankach na ich rachunku, nie powinni być pozbawieni swej własności. To może dotyczyć wielu t. zw. Volksdeutschów, z których część oczywiście musi się znaleźć poza Polską (względnie w polskich więzieniach) ale wśród których są także Polacy.

Bardzo trudne będzie uregulowanie stosunków walutowych. Wydaje się, że na ziemiach polskich przewagę ma marka niemiecka, to znaczy że największą część złotych, kursujących we wrześniu 1939 r., wymieniono na marki niemieckie. Drugie miejsce zajmują, złote okupacyjne (t.zw. młynarki), dalej idą złote przedwojenne, ruble, lity, korony słowackie etc. Polski nie będzie stać na to, by obce waluty wykupywała po wyższym, szczególnie korzystnym dla ludności kursie, jak to zrobiła Francja w Alzacji i Lotaryngii w r. 1918, chcąc sobie pozyskać ludność. Ale przerachowanie musi być sprawiedliwe i powinno być przeprowadzone możliwie szybko, by skrócić nieunikniony okres spekulacji.

Bardzo ważnym zadaniem będzie walka z epidemiami. Ghetta nie mogą pozostać, ale jeśli istotnie niektóre z nich są wielkimi ogniskami chorób zakaźnych, to władze sanitarne będą musiały wyteńczyć wszystkie siły, by niebezpieczeństwo epidemii opanować.

W życiu gospodarczym na pierwszy plan wysunie się zagadnienie zwiększenia produkcji żywności. Z pewnością będziemy sprowadzać mąkę z Ameryki, lecz to nie powinno trwać długo.

Zwiększenie taboru kolejowego oraz floty handlowej jest niezbędnym warunkiem ożywienia stosunków handlowych z innymi państwami. Niemcy rozbudowali i ulepszyli linie komunikacyjne

łączące ziemie polskie z Berlinem. Dla nas będą ważniejsze inne drogi, mianowicie te, które wiodą ku morzu, ku Czechosłowacji, na Bałkany i na wschód, do Rosji.

Dążąc do usunięcia szkód spowodowanych przez Niemców, nie powinniśmy oczywiście dążyć wszędzie do przywrócenia takiego układu stosunków gospodarczych, jaki istniał przed wojną. Weźmy np. problem Warszawy. Zachowała ona również podczas okupacji swą naczelną, dominującą pozycję. Pisma niemieckie podały, że Warszawa wpłaca 45% wszystkich podatków bezpośrednich całego Gen. Gubernatorstwa. Warszawa, a nie Kraków, będzie stolicą Polski. Z tego jednak wcale nie wynika, by znowu miało się powtórzyć nierozsądne skupianie urzędów w Warszawie, a fabryk koło jej przedmieść. Poco powiększać stoleczny proletariat-robotniczy i urzędniczy, żyjący już przed wojną, zanim Warszawę zbombardowano, w tak fatalnych warunkach mieszkaniowych?

St. Rychliński w pracy "Warszawa jako stolica Polski" (1936) podawał, że w latach 1921-31 ludność Warszawy wzrosła o 25,8% podczas gdy zaludnienie całego kraju o 18,9%. Na Warszawę przypadało wtedy 16% ogółu robotników ubezpieczonych przymusowo w Ubezpieczalniach Społecznych, a 23,4% pracowników umysłowych.

Ten nienormalny stan miałby się utrzymywać i pogłębiać? Nie, już w pierwszym stadium odbudowy należy przypilnować, by ustało ogalanie miast prowincjonalnych z różnych urzędów i instytucyj i aby się poza Warszawą odbudowywały te przedsiębiorstwa, które uległy zupełnemu zniszczeniu, a których produkcja nie musi być ściśle związana ze stolicą.

Należy jednak przewidywać, że pęd do przywrócenia stanu przedwojennego będzie bardzo silny. Zarówno w miastach jak na wsi. Byłoby lepiej, gdyby nie powstawały znowu te karłowate gospodarstwa rolne, które w niektórych wioskach Niemcy już zlikwidowali, co prawda w barbarzyński sposób. Byłoby lepiej, gdyby się nie rozpadały te nowe 20-sto lub 30-sto hektarowe gospodarstwa. Ale chłopskie przywiązanie do ziemi oraz nieufność do obietnic przydzielenia innego warsztatu pracy sprawia, że wysiedleni żywiłowo ruszą do swych wiosek i będą się tam osiedlać przynajmniej w takich wypadkach, gdy ich dawne budynki nie zostały przez Niemców całkowicie zniszczone. Geometry będą mieli dużo roboty, podział maszyn i inwentarza spowoduje dużo zatargów. W najgorszym położeniu będą ci, którzy swych dawnych chałup już nie odnajdą, bo zmieniono je, by tworzyć lotniska lub poligony. Tym wysiedleńcom należałoby przyznać pierwszeństwo przy przejmowaniu niemieckich terenów rolnych, które Polska powinna uzyskać w imię zasady odszkodowania.

Odbieranie zagrabionych warsztatów pracy będzie rzeczą nieskomplikowaną, gdy ich posiadacze będą Niemcami. Trudniejsza będzie sytuacja jeśli się okaże, że nieruchomości już parę razy zmieniła właściciela, a ostatni posiadacz, Polak, rzeczywiście za nią zapłacił.

Jednym słowem — konieczna będzie prawdziwa powódź dekretów, regulujących te zawikłane problemy i trzeba będzie szybko uruchomić sprawnie działające sądy celem rozstrzygnięcia zatargów.

Zarazem zaś już w tym pierwszym, wstępnym okresie powinna się rozpocząć planowa gospodarka, jeśli chodzi o majątek państwowy. Do tego przecież wcale nie potrzeba uchwał Sejmu, który nawet — jeśliby został wybrany w ciągu pierwszych kilkunastu tygodni — nie od razu będzie mógł się zająć reformą ustroju gospodarczego. Oczywiście państwo zawsze miało obowiązek prowadzenia gospodarki planowej we własnym zakresie i właściwie ją prowadziło.

XI. GOSPODARKA PLANOWA.

Jak stałość polityki zagranicznej, tak samo również planowość i trwałość polityki gospodarczej zależy w dużym stopniu od trwałości rządów. Ze zmianą gabinetu może, choć nie musi, zmieniać się kierunek polityki gospodarczej. Może się zdarzyć, że np. jeden gabinet będzie kładł nacisk na sprawę osuszania bagien koło Ossowca, drugi natomiast za rzecz daleko ważniejszą uzna np. budowę autostrady z Sandomierza do Gdańska, trzeci będzie rzucał miliony na poszukiwania ropy na Podkarpaciu, jeszcze inny zajmie się przede wszystkim budową nowych miast. Brać się do wszystkiego naraz oczywiście nie można. Trzeba wybierać to, co najpilniejsze. Trzeba podejmować inwestycje, które najprędzej zaczną się rentować.

Otuchę jednak budzi fakt, że główne inwestycje niepodległej Polski zostały zadecydowane i podjęte już przed r. 1926, a więc w okresie stosunkowo częstych zmian gabinetów. Mam na myśli przyjęcie przez pierwszy Sejm ustawy o budowie portu w Gdyni, dalej rozpoczęcie budowy linii kolejowej Katowice — Gdynia (wydzierżawionej później, za czasów p. Matuszewskiego Francuzom) itd. Z drugiej zaś strony wiadomo, że właśnie w okresie t. zwanych silnych i — pożałuj Boże — konsekwentnych rządów pomajowych zdarzyły się wypadki takie jak wpakowanie milionów w budowę gmachów kolejowych w Chełmie i — zupełnie przerwanie tych prac.

Plany dobrze opracowane, należyte uzasadnione fachowymi argumentami, mające na celu dobro wszystkich klas społecznych i wogóle całej Polski, będą miały szanse przetrwania różnego rodzaju zmian politycznych. Będą wykonywane niezależnie od tego, jaka grupa polityczna będzie przy władzy. Ale nie da się zaprzeczyć, że jest bardzo dużo inwestycji gospodarczych, w sprawie których nie można podjąć decyzji bez rozpatrzenia sytuacji politycznej. Np. ewentualne zmiany w rozmieszczeniu przemysłu zbrojeniowego zależą od tego, jakie będziemy mieć granice i z której strony spodziewać się będziemy napaści.

Mimo wszystko państwo ma przed sobą szereg zadań, które w opinii publicznej już nie są sporne.

Np. wszyscy jesteśmy zgodni co do tego, że flotę handlową należy jak najbardziej powiększyć. Podwojenie, a nawet potrójenie

jej w porównaniu ze stanem przedwojennym to jeszcze nie byłoby zbyt dużo. Inna bezsporna konieczność to rozbudowa przemysłu. Przez długie lata jeszcze Polska pozostanie państwem rolniczo-przemysłowym, zrównanie odsetka ludności przemysłowej z odsetkiem rolnej w ciągu kilku lub nawet kilkunastu lat jest rzeczą niemożliwą. Ale jest możliwe i pożądane znaczne zwiększenie liczby robotników przemysłowych. Konieczne jest uszlachetnienie naszego przemysłu, bo dotychczas duża część tego przemysłu polega na wydobywaniu i wywozie pewnych surowców, np. węgla. Przemysł drzewny to też wciąż jeszcze w znacznym stopniu cięcie i wywóz drzewa.

Uprzemysłowienie jest hasłem wielu innych krajów i to także poza Europą, a paroletni okres blokady znacznej części Europy sprawia, że kraje dotychczas nieuprzemysłowione albo przyzwyczajają się sprowadzać coraz więcej z Ameryki albo też rozwijają przemysł u siebie. Np. w Indiach, a także w niektórych dominjach brytyjskich powstały liczne wytwórnie sprzętu wojskowego. To też eksport żelaza lub przędzy natrafił po wojnie na trudności jeszcze większe niż dawniej. To też dobrze byłoby poświęcić szczególną uwagę także tym przemysłom, które potrzebują wielu pracowników nietylko inteligentnych, ale i uczonych. Oczywiście, aby rozwinąć przemysł radiotechniczny i lotniczy, aby poczesne miejsce zająć w światowym wywozie narzędzi precyzyjnych, instrumentów naukowych, lekarstw etc. — trzeba szybko podnosić poziom kultury, a naukę otoczyć troskliwą opieką i zapewnić jej głęboki szacunek społeczeństwa. To wszystko jest jednak możliwe a pożyteczne. Szanse nasze nie przedstawiają się źle, bo z pewnością nie należymy do narodów najmniej zdolnych.

Wzgląd na bezpieczeństwo Polski oraz potrzeba zamienienia Polski drewnianej na murowaną, powinny spowodować ogromny rozwój przemysłu metalowego, cementowego itd.

Nie należy dążyć do koncentracji przemysłu na jednym obszarze. W każdym województwie mogą się rozwijać jakieś gałęzie przemysłu. Będą one jednak nierównej wartości, bo ziemię bogatsze w skarby naturalne lepiej się nadają na ogniska przemysłu. A więc np. bekoniarne mogą powstawać koło Pułtusza lub Lidy, a cukrownie koło Buczacza, ale wielkie wytwórnie metalowe muszą powstawać blisko złóż węgla i rud albo też blisko "białego węgla" i gazociągów. To też idea "Centralnego Okręgu Przemysłowego" powinna być nadal urzeczywistniana, gdyż przemawiały za nią nietylko względy wojskowe. Mówiło się o możliwości przesuwania granic tego obszaru dalej na wschód. Miałoby to wielką doniosłość ze względu na układ stosunków narodowościowych. Zakładanie ośrodków przemysłowych w powiatach o bardzo niskim procencie ludności polskiej i zdala od głównego polskiego obszaru językowego da w niejednym wypadku wzmocnienie gospodarcze żywiółw Polsce niechętnych, natomiast tworzenie wielkich ośrodków przemysłowych na obszarach językowo mieszanych spowoduje w pierwszej linii silniejsze związanie ludności niepolskiej z polską i przyczyni się ogromnie do liczebnego wzmocnienia ludności polskiej

na danym terenie. Należy bowiem pamiętać, że pęd ludności polskiej na wschód w ostatnim 20-leciu bynajmniej nie był żywiołowy. Bardzo wielu wolało się osiedlać na Śląsku lub na Pomorzu niż w Małopolsce Wschodniej i na Wołyniu. Rzecz jasna, rozwiązania sprawy ukraińskiej trzeba szukać przede wszystkim na innej platformie, niemniej jednak tworzenie nowych ognisk przemysłu bliżej górnego Bugu i Dniestru będzie pożyteczne.

Należy również oczekiwać wyraźnych przemian jeśli współpraca gospodarcza z Czechosłowacją będzie się zacieśniać, a bariery celne, które w pierwszym okresie muszą pozostać, zaczną się coraz bardziej obniżać. Należy przewidywać np. współpracę w dziedzinie elektryfikacji. Słowackie osady mogłyby być zasilane prądem z Rożnowa, polskie zaś z elektrowni w słowackiej części Orawy. Niewątpliwie ogromnie się wzmoże ruch turystyczny w południowym kierunku.

Czego przy rozbudowie przemysłu stanowczo unikać należy, to tworzenia miast — olbrzymów. W nich bowiem osłabia się kontakt człowieka z przyrodą, a idea upowszechnienia własności jest trudniejsza do urzeczywistnienia, gdyż doprawdy brak miejsca np. na domy i ogrody.

Rolnictwo też się powinno rozwinać, a wywóz rolny będzie miał zawsze niezłe widoki przed sobą, gdyż Zachód pozostanie obszarem gęsto zaludnionym. Mówiło się u nas, że żywności mamy dość, ale w rzeczywistości — gdyby ludność Polski odżywiała się tak, jak się odżywiać powinna, jak to jest konieczne dla wychowania zdrowego i tęgogo fizycznie pokolenia młodzieży — to nasza dawna produkcja żywności okazałaby się niewystarczająca. Można wydatnie zwiększyć produkcję we wszystkich działach. Jeśli o wywóz chodzi, to naturalnie należy popierać wywóz oparty na produkcji hodowlanej, a więc np. mięsny i mleczny.

Wieś polska jest przeludniona. Pewną ulgę powinno przynieść oczekiwane powiększenie naszego terytorium, natomiast nie można się godzić na dalsze zwiększanie powierzchni rolnej kosztem lasów. Jeszcze tu i ówdzie pokutuje pogląd, że Polska jest krajem bogatym w lasy, ale w rzeczywistości procent lasów w rolniczej Polsce był znacznie niższy niż w przemysłowych Niemczech. Już przed kilkunastu laty obliczano, że należy zalesić półtora miliona hektarów powierzchni leśnej oraz znaczne połacie nieużytków. Należy się obawiać, że po tej wojnie lasy na ziemiach Polski nie będą zajmować więcej jak 20 proc. powierzchni kraju.

Oto niektóre zadania państwowej polityki gospodarczej, osiągalne przy dotychczasowych środkach, którymi państwo rozporządzało, a więc za pomocą odpowiedniego użycia kapitałów państwowych, ulg podatkowych, subwencji i kredytów, taryf kolejowych i celnych etc.

Słyszy się teraz dość często, że mogliśmy osiągnąć daleko wyższy stopień rozwoju gospodarczego, gdyby nie zbyt ostrożna polityka min. Kwiatkowskiego. Jeśli to ma znaczyć, że polityka kredytowa mogła być trochę śmielsza, to zarzut jest słuszny.

Byłoby jednak nieszczęściem, gdyby wytworzył się pogląd, że potęgę gospodarczą można osiągnąć za pomocą jakichś sztuczek, jakiegoś "hokus-pokus," przez wydrukowanie dowolnej ilości banknotów i zerwanie z klasycznymi zasadami ekonomii. Nic podobnego. Zawsze pozostanie prawdą, że należy mniej wydawać niż się zarabia, że trzeba oszczędzać, że należy mieć czynny bilans płatniczy etc. Nie to jest rzeczą najważniejszą, jaki był obieg banknotów, lecz to, że na bardzo ważne stanowiska wdzierali się ludzie niesumienni lub dyletanci, że w niepokojącym tempie wzrastała liczba osób opłacanych z funduszków publicznych, że grozom publicznym gospodarowano nieudolnie lub nawet wręcz rozrzutnie. Usunięcie tych błędów w przyszłości sprawi, że gospodarka państwowa będzie bardziej planowa i owocna.

Dopiero wtedy, gdy się okaże, że państwo potrafi lepiej niż dotychczas wyzyskać swe możliwości, że gospodaruje lepiej, z większym dla narodu pożytkiem niż przedsiębiorca prywatny, wtedy będzie można przyznać rządowi większe uprawnienia.

Po wojnie zetrą się różne tendencje. Łączność gospodarza państw chyba się zacieśni, mury celne zostaną obniżone, a na niektórych odcinkach może nawet runąć całkowicie, prądy autarkiczne wezmą w łeb. Odgradzanie się od świata, zamykanie na własnym podwórku będzie — przynajmniej przez parę lat — niepopularne i trudniejsze niż np. w okresie wielkiego kryzysu gospodarczego (w latach 1929—35). Z tego też względu zapewne trudniejsze będzie rozszerzanie gospodarki planowej w ramach tylko jednego państwa. Równocześnie jednak na podłożu powojennego zmęczenia i zubożenia wyrosną silne tendencje do rozszerzenia opieki państwa nad jednostką. Ale nie zabraknie także ludzi, którzy powiedzą, że rozrostowi funkcji państwa trzeba narzeczcie położyć kres i dać obywatelowi trochę więcej wolności. Nie tyle, ile przed stu laty żądali teoretycy liberalizmu, ale przecież trochę więcej niż ma jej człowiek dzisiejszy.

Czegoż to bowiem nie żąda od obywatela współczesne państwo. Że każe uczyć się i leczyć — to zrozumiałe. Służba w wojsku jest również koniecznością. Ale czyż państwo nie zagląda również do garnków? Czy nie przepisuje, co mamy jeść i jak się ubierać? Aby poprzeć hodowlę owiec, mamy jeść baraninę, aby zaś nie ucierpiało cukrownictwo — nie wolno sporządzać różnych syropów. Celem poparcia lnianstwa — mamy nosić liane koszule, a ze względu na monopol zapalczany — nie wolno używać zapalniczek (niestemplowanych). Mamy chodzić raz tą, raz inną stroną ulicy, jeździć rowerem z oznaczoną tabliczką rejestracyjną lub wozem konnym ustalonego typu. Celem "odmrożenia" wierzytelności mamy spędzać urlop w tym, a nie innym kraju, chcąc zaś wywozić towar, trzeba należeć do popieranego przez państwo kartelu. Budując dom musimy stawiać ściany tak a nie inaczej, ustaloną część parceli pozostawić niezabudowaną, w ogrodzie własnym nie wolno hodować np. tytoniu ani puknąć do ptaka, ogrodzenie zaś trzeba pomalować na taki a nie inny kolor.

Prawda, że te zakazy lub zalecenia są przeważnie celowe i pożyteczne, lecz czyż w rezultacie nie zbliżamy się coraz bardziej do chwili, kiedy o wiele łatwiej będzie wyliczyć, co człowiekowi wolno niż czego nie wolno? Czy nie wzrasta ilość wykroczeń popełnianych mimowoli, w zupełnej nieświadomości obowiązujących przepisów tworzących już las tak gęsty, iż gubi się w nim czasem nawet wytrawny prawnik?

W tym stanie rzeczy niejedyn obywatel, przytłoczony tą wszechmocą i wszechobecnością państwa, będzie z pewnością gorąco pragnął, by dalszy rozrost gospodarki planowej odbywał się raczej za pomocą dobrowolnych zrzeszeń lub samorządów i był poprzedzany akcją wychowawczą, a nie zaostrzaniem sankcyj karnych, oddanych do rozporządzenia zachłannej a krótkowzrocznej biurokracji.

Naturalnie u podstaw gospodarki planowej muszą leżeć inne zasady, inne pojęcia niż te, z których wyrastał zeszlowieczny liberalizm kapitalistyczny.

Wyłącznym celem produkcji nie może być zysk, jak to niektórzy ongiś głosili. Dziś żądamy, by produkcja miała na celu dobro ogółu i zmierzała do zaspokojenia potrzeb. Prawo własności nie jest bezwzględne, lecz jest obciążone obowiązkami na rzecz społeczeństwa. Praca ludzka nie może być uważana za towar, który może być kupowany po jak najniższej cenie, lecz musi być należycie wynagradzana tak, by płaca wystarczała na utrzymanie robotnika i jego rodziny.

Oto zasady, które już szeroko się rozpowszechniły i w mniejszym lub większym stopniu są uwzględniane w ustawodawstwie współczesnym.

Od liberalizmu odeszliśmy już dość daleko i to z różnych powodów. Raz dlatego, iż okazało się, że pełny, niczem nieskrepowany liberalizm gospodarczy wcale nie zabezpiecza przed katastrofami gospodarczymi; dowodem olbrzymi kryzys, który się rozpoczął w Stanach Zjednoczonych w październiku 1929 r. Powtóre dlatego, że uczucia i dążenia narodowe są dziś nieporównanie silniejsze niż przed wiekiem, w złotym okresie liberalizmu. Nie jest nam obojętne, kto i gdzie się bogaci, gdzie płyną kapitały, kto potężnieje, a kto słabnie gospodarczo. Dlatego też gospodarke planową chcemy oprzeć na podstawie narodowej. Konieczna i pożyteczna jest współpraca z innymi państwami, czasem potrzebne jest nawet udzielenie daleko idącej pomocy innym, jesteśmy nawzajem od siebie zależni, lecz przecież przy całej życzliwości dla innych narodów przede wszystkim dobro własne musimy mieć na oku. Nie o to nam chodzi, by jednakowo i równomiernie dźwigał się cały świat (z wszystkimi naszymi wrogami i przyjaciółmi), lecz o to, by jak najwyżej dźwignęła się Polska. Nie o to zabiegać będziemy najusilniej, by dla polskich wychodźców jak najszerzej otworzy się bramy bogatych krajów, lecz o to, by z Polski nie potrzebował emigrować żaden Polak, byśmy krwią własną nie zasilali innych organizmów, osłabiając własny.

Obliczają, że w latach 1871 — 1913 straty migracyjne Polski wyniosły około półczwarta miliona głów. W latach 1895 — 1913 traciliśmy, już po uwzględnieniu reemigracji, przeciętnie 139 tys. ludzi rocznie. W latach 1924 — 30 ubywało z Polski przeciętnie 70 tys. ludzi i dopiero w ubiegłym dziesięcioleciu straty te ustały. Zapewne, Żyd jadący do Palestyny, nie jest stracony dla swego narodu, ale z Polaków, którzy osiedli w Westfalii lub za Atlantykiem, iluż straciliśmy bezpowrotnie? Czy nie zasililiśmy w ten sposób narodu niemieckiego, czy mało żołnierzy z polskimi nazwiskami maszerowało w armii Hitlera na Polskę?

Nie chcemy być tworzywem dla innych narodów. Chcemy prowadzić gospodarkę planową w pokoju i w zgodzie z innymi, lecz na naszych ziemiach i pod kątem naszych potrzeb, dla naszego dobra, dla rozwoju naszej kultury narodowej. Do tego celu zmierzać będą nasze prace i nasze reformy społeczne.

XII. REFORMY SPOŁECZNE.

Powojenne reformy powinny zapewnić bardziej sprawiedliwy rozdział dochodu społecznego i usunąć, a przynajmniej zmniejszyć możliwości bogacenia się bez pracy i z oczywistą krzywdą ogółu.

W oczach wielu najbardziej jaskrawą niesprawiedliwością jest istnienie majątków ziemskich. Reforma rolna jest niewątpliwie konieczna i pożyteczna, ale byłoby źle, gdyby agitacja za jak najradykałniejszą reformą rolną (podsycana przez żywioty nie-polskie, wśród większej własności słabo reprezentowane) miała odwrócić uwagę ogółu od zjawisk bardzo ważnych a szczególnie skandalicznych.

Np. weźmy spekulację giełdową. Spekulant rozszerza, dajmy to pogłoskę, że jakieś towarzystwo naftowe jest bliskie bankructwa, bo zapasy ropy na jego terenach już się wyczerpują. Gdy już jego agenci przy pomocy przekupnych pisemek wzbudzili dostateczną panikę, ten sam spekulant przez podstawionych ludzi skupuje akcje, lecące na łeb na szyję. W kilkanaście dni później człowiek ten rozszerza wiadomość, że przed tym samym towarzystwem otwierają się wspaniałe widoki, bo dowiercono się bogatych pokładów ropy. Akcje idą w górę, spekulant sprzedaje je, zgarniając w krótkim czasie ogromne sumy.

Według pojęć liberalno-kapitalistycznych taki spekulant jest w porządku. To człowiek sprytny. On pieniądze legalnie zarobił.

Według pojęć chrześcijańsko-społecznych ten spekulant popełnił przestępstwo. To oszust. On pieniądze ukradł, mianowicie ukradł tym ludziom, których okłamał.

Prawda, że w Polsce tego rodzaju spekulacja giełdowa nigdy nie miała takich rozmiarów jak w Ameryce. Mimo to warto sobie uświadomić, że tego rodzaju sposoby bogacenia się nie mogą być w Polsce tolerowane.

Teraz inny przykład. Adwokat sporządza akt prawny o połączeniu się dwóch koncernów węglowych i za to otrzymuje

około ćwierć miliona złotych. Czy tu jest właściwa proporcja między dokonaną pracą a zapłatą? Nawiąsem mówiąc, płacić musi właściwie całe społeczeństwo, bo chodzi o artykuły powszechnego użytku.

Agent handlowy otrzymuje od rządu zezwolenie na przywóz z zagranicy jakiegoś cennego towaru bez cła. Koncesję sprzedaje innym i w ten sposób bez żadnej pracy i ryzyka otrzymuje grubą sumę.

Kompilator opracowuje jakiś mizerny podręcznik szkolny i uzyskuje w Min. Oświaty zarządzenie, że wyłącznie ten a nie inny podręcznik ma być używany. Autor zgarnia niezłą sumkę, bo rodzice uczniów z westchnieniem wyciągają ciężko zapracowane pieniądze i kupują nową książkę.

Są to przykłady niejednakowego kalibru i z pewnością możnaby znaleźć jeszcze jaskrawsze. Ale to wystarczy, by dowieść, że ludzie, których najbardziej oburza fakt istnienia gospodarstwa o powierzchni kilkuset czy kilku tysięcy hektarów, przeoczą nieraz bardzo krzywdzące przywileje, stwarzane lub tolerowane przez państwo.

To też gdy mowa o reformach, o sprawiedliwości społecznej, należy żądać, by najpierw państwo dało dobry przykład. Żadnych przywilejów! Żadnych prezentów dla jednostek z krzywdą ogółu!

Od państwa należy również żądać bardziej sprawiedliwej polityki skarbowej. Nie jest rzeczą pożądaną zwiększanie udziału podatków pośrednich w ogólnych dochodach państwa, a już zupełnie niewłaściwe jest zwiększanie opodatkowania artykułów pierwszej potrzeby. W Polsce do kasy państwowej wpływało około 40% ceny cukru, to znaczy 40 groszy z każdego złotego za kilogram cukru. Gdyby nie te podatki i nie wywóz zagranicę po bardzo niskich deficytowych cenach (13–16 groszy za kilogram), to cukier w Polsce byłby znacznie tańszy, a co za tym idzie spożycie o wiele większe.

Nie powinno się również ciągnąć dochodów z oświaty. Nietylko szkoła powszechna powinna być bezpłatna. Poza pewnymi opłatami rejestracyjnymi, mającymi uniemożliwić wpisywanie się dla korzystania z pewnych przywilejów (np. w szkołach akademickich), należy znieść przeróżne opłaty i jak najbardziej ograniczyć t.zw. dobrowolne składki, aby nauka była rzeczywiście bezpłatna. Niedosć na tym. Dla bardzo wielu rodziców nawet książki i różne pomoce szkolne są poważnym wydatkiem. Wobec tego należałoby podręczniki szkolne rozdzielać dzieciom jeśli nie całkiem darmo, to po bardzo niskich cenach. Wartoby też ulepszyć i spotęgować akcję dożywiania dzieci w szkole, co zwłaszcza po obecnej wojnie będzie miało ogromne znaczenie. Trzeba wyjść z założenia, że należyte dożywianie młodzieży w szkole jest równie ważne jak odpowiednie żywienie rekrutów. Wtedy, przy możliwie całkowitem uwolnieniu rodziców od wydatków i przy większej trosce o fizyczny rozwój dzieci, przymus szkolny nigdzie nie będzie uważany za ciężar i liczba uchylających się od nauki będzie znikoma.

Jak oświata, tak i wymiar sprawiedliwości nie powinien być uważany za źródło dochodów. Wprawdzie było rzeczą słuszną wprowadzenie pewnych opłat celem ograniczenia pieniacstwa, ale wobec ubóstwa szerokich mas niektóre taksy odstraszaają od szukania sprawiedliwości nawet w tych wypadkach, gdy sprawa istotnie powinna się znaleźć przed obliczem sędziego. Pewne obniżki są zatem konieczne.

Stemple na podaniach do władz również były czasem dla biedaków poważnym kłopotem, tym bardziej, że stempel nie zapewniał wcale rychłego i definitywnego załatwienia prośby. Przyznając, że trzeba zapobiec ewtl. powodzi próśb i podań, sędze jednak, że i w tej sprawie niejedno nadaje się do zmiany.

Wyrażone powyżej życzenia to nie reformy społeczne w normalnym tego słowa znaczeniu. Ale w związku z tym spadek dochodów, względnie wzrost wydatków państwowych mogłby łącznie osiągnąć sumę paruset milionów złotych rocznie, więc sprawa jest ważna już choćby z finansowego punktu widzenia. A kto zna życie mas, ten wie, ile rozgoryczenia i niechęci do całego aparatu urzędniczego wywołują tego rodzaju niewłaściwe sposoby zwiększania wpływów skarbowych.

Z kolei przejdźmy do polityki socjalnej i znów zaczniemy od spraw stosunkowo łatwych i znanych. Konieczna jest zmiana ustawy o ubezpieczeniu na starość; np. granica wieku powinna być obniżona.

Zmiany są potrzebne również w ubezpieczeniu na wypadek choroby i to nietylko w tym kierunku, by ubezpieczeni odzyskali należyty wpływ na gospodarkę w ubezpieczalniach, lecz także w kierunku ulepszenia świadczeń dla ubezpieczonych.

Więcej uwagi należy poświęcić opiece nad matką i niemowlęciem i to w całym kraju. Ponosimy ogromne straty skutkiem wysokiej śmiertelności niemowląt. Co szóste dziecko umiera w pierwszym roku życia. W r. 1938 zmarło 119 tys. niemowląt. Gdyby udało się zmniejszyć tę śmiertelność choćby tylko o 25% (w Niemczech zmniejszono o 50%) to w ciągu niedługiego czasu wyrównamy straty poniesione na polach bitew. Rzecz jasna, iż postawienie tego działu opieki na odpowiedniej wyżynie mogłoby się okazać niemożliwością przy utrzymywaniu zasady samowystarczalności każdego działu ubezpieczeń. Ale też nie ma żadnego rozumnego powodu, dlaczego państwo nie miałoby dopłacać — w stopniu o wiele większym niż się to zdarzało dotychczas — do różnych ubezpieczeń.

Ubezpieczenia społeczne powinny uchodzić za równie ważne i potrzebne obciążenie gospodarstwa narodowego jak np. wydatki na policję.

Tu trzeba jednak zaznaczyć, że wartość opieki i ubezpieczeń społecznych w niemałym stopniu zależy od ludzi, którym te zadania powierzono. Instytucje zbiurokratyzowane albo zajmujące się dodatkowo sprawami do nich nie należącymi (np. agitacją za listą rządową) muszą ściągać na siebie ogólną niechęć.

Niezwykle ważnym jest staranny dobór ludzi w tych urzędach, które często muszą rozstrzygać spory między pracą a kapitałem, więc chodzi tu przede wszystkim o inspektoraty pracy. Muszą one być na tyle liczne, by rzeczywiście mogły wszędzie a dość często kontrolować warunki pracy. Inspektorami powinni być ludzie gruntownie obeznani z problemami gospodarczo-społecznymi i mający czujne, wrażliwe sumienie, któreby nie pozwoliło im na spokojne przyglądanie się nędzy i krzywdzie. Było to naprawdę przykre i smutne, gdy np. górnicy, głodując, w podziemiach walczyli o swoje prawa, a długie dni miały jeden za drugim nim nareszcie zjawił się inspektor pracy i spowodował wznowienie rokowań lub arbitraż.

Strajki w Polsce wcale nie były rzadkie. W r. 1936 straciliśmy skutkiem strajków prawie 4 mil. dni roboczych, w r. 1937 nie wiele mniej bo 3,3 mil. Należy też pamiętać, że strajki miały często szczególnie ostrą formę (t.zw. strajk polski). Strajki nie mogą być wykluczone ustawami. Jest więc rzeczą niezbędną, by rozjemstwo w zatargach pracy z kapitałem stało na bardzo wysokim poziomie.

Naturalnie nie wystarczy samo łagodzenie i rozstrzyganie sporów. Trzeba sięgnąć do sedna rzeczy. Trzeba usuwać zasadnicze przyczyny rozgoryczenia i gniewu mas, a więc nędzę, wielką nędzę, którą się co krok spotyka zarówno w mieście jak na wsi. Błędem jest twierdzić, że jest to problem nierozwiązalny bez obalenia współczesnego ustroju gospodarczego. Zrobilibyśmy duży krok naprzód, gdybyśmy urzeczywistnili hasła już powszechnie przyjęte w teorii, ale niestety nie w praktyce.

Często się jeszcze zdarza, że fabrykant odmawia podwyżki swemu pracownikowi, np. kasjerowi, wychodząc z założenia, że nie potrzebuje mu płacić więcej, bo mógłby mieć pracownika jeszcze tańszego. A ten skrzywdzony kasjer, narzekając na niesprawiedliwość, targuje się z nową służącą o każdego złotego pensji, wychodząc z założenia, że nie musi jej płacić 15 zł., skoro mógłby łatwo znaleźć służącą za 10 zł. miesięcznie.

W obu wypadkach praca jest traktowana jako towar, który wolno kupić po najniższej cenie. A już pół wieku temu Leon XIII pisał (w encyklice "Rerum Novarum") o takich wymuszonych umowach:

"Jeśli pracownik zmuszony koniecznością albo skłoniony strachem przed gorszym nieszczęściem, przyjmuje niekorzystne dla siebie warunki, które zresztą przyjmuje tylko pod przymusem, ponieważ mu je narzuca właściciel warsztatu lub wogóle pracodawca, wtedy dokonuje się gwałt, przeciw któremu głos podnosi sprawiedliwość."

Pokutuje też jeszcze pogląd, że każdy może najzupełniej dowolnie rozporządzać jeśli nie odziedziczonym majątkiem, to przynajmniej zapracowanym dochodem. Tymczasem Pius XI (w encyklice "Quadragesimo anno," 1931) pouczał:

"Nasuwa się tu sprawa wolnych dochodów, to jest tych, które

człowiekowi zostają po opędzeniu potrzeb, związanych z utrzymaniem się na stopie przyzwoitości i odpowiednio do zajmowanego stanowiska. Człowiek nie ma zupełnej swobody w rozporządzaniu niemi.”

Papież zaznaczał, że “użycie znaczniejszych tych dochodów na tworzenie nowych możliwości pracy, pod warunkiem, że będzie służyła produkcji dóbr prawdziwie użytecznych, uznać należy za doskonałą, a potrzebom naszych czasów szczególnie odpowiedni sposób praktykowania enoty wspaniałomyślności.”

Posłuchajmy wreszcie, co Pius XI mówił o wolnej konkurencji :

“Jak jedności społeczeństwa nie można opierać na walce klas społecznych, tak i właściwego ustroju gospodarczego nie można zostawiać wolnej konkurencji. Stąd z nieskrępowania wolnej konkurencji, wypłynęły, jak z zatrutego źródła, wszystkie błędy indywidualistycznej ekonomii, która w falach zapomnienia lub niewiedzy utopiwszy społeczny i moralny charakter życia gospodarczego, sądziła, że władza państwowa winna mu zostawić zupełną niezależność i pełną swobodę pod pozorem, iż wolny rynek lub wolna konkurencja stanowić ma rzekomo dla życia gospodarczego jego zasadę kierowniczą, która je reguluje o wiele doskonalej niż jakakolwiek świadoma interwencja ludzka. Wolna konkurencja jednak — jakkolwiek w pewnych granicach słuszną i pożyteczną — nie może być kierowniczą zasadą życia gospodarczego, a aż do zbytku potwierdziło doświadczenie tę prawdę, kiedy w życie wprowadzono zgubne postulaty indywidualistyczne. Stąd pochodzi nagląca konieczność poddania życia gospodarczego prawdziwej i skutecznej zasadzie kierowniczej.”

Liczne są zachęty do reform. Ież nieszczęście jednak może spowodować przekazywanie wszystkich zadań państwu i to bez odpowiedniego wychowania obywateli, którzy w nim będą decydować.

XIII. OBYWATEL A PAŃSTWO.

Liberalny system gospodarczy i liberalizm polityczny stanowią logiczną całość. W Stanach Zjednoczonych, typowym kraju liberalnego kapitalizmu, przez bardzo długi czas państwo nie tylko nie krępowało życia gospodarczego, lecz także nie powoływało obywateli do wojska, nie stawiało im żadnych ograniczeń co do pracy zawodowej, tworzenia stowarzyszeń, zakładania szkół, prasy etc. To się już i tam skończyło.

W Polsce państwo wywierało i będzie wywierać doniosły wpływ na całe życie zbiorowe, nie tylko gospodarcze. Dlatego to u nas szczególną wagę posiada zagadnienie politycznego ustroju państwa, zagadnienie organizacji władz i obrony praw jednostki przed nadużyciami ze strony władz.

Nadużycia były i tak się dały we znaki, iż nie byłoby rzeczą dziwną, gdyby prawem reakcji powstały potężne tendencje w kierunku jak najlepszego obwarowania praw obywatela.

Na pierwszy rzut oka wydawałoby się, że wystarczy te prawa jak najdokładniej wyliczyć i określić w konstytucji. Przekonałiśmy się jednak, jak dalece można — przy złej woli — naginać i "interpretować" każdy artykuł konstytucji i każdą ustawę.

Pewną gwarancję stanowić będzie wzmocnienie niezależności sądów i ułatwienie im paraliżowania nielegalnych zarządzeń władz. Ale wydaje się, że trzeba czegoś więcej jeszcze. Trzeba obywatelom nałożyć w konstytucji bardzo stanowczy obowiązek przeciwstawiania się nadużyciom władzy. Dotychczas bywało zazwyczaj tak, iż gdy np. fałszowano wybory w jakimś okręgu, to wykonawcy zarządzeń władzy wyższej (np. policjanci) działali jak ślepe narzędzia tłumacząc się tym, iż ich obowiązkiem jest słuchać i że zresztą słuchać muszą, bo straciliby pracę. A ci, których obowiązkiem było waleczyć z nadużyciami, tłumaczyli się wykrętnie, iż "oficjalnie" nic o nich nie wiedzą, bo nie otrzymali odpowiedniego pisma. Otóż w przyszłości tak być nie może. Policjant musi odmówić posłuszeństwa, gdy mu każą strzelać do bezbronnego a spokojnego tłumu, żołnierz musi się sprzeciwić, gdy mu każą "spacyfikować" strajkującą wieś, dyplomata musi się uchylić od doręczenia nawskroś kłamliwej, sprzecznej z honorem Polski noty. Naturalnie mogą powstać na tym tle różne kłopoty, bo urzędnik może czasem przez pomyłkę odmówić wykonania najzupełniej słusznego polecenia, lecz te kłopoty to drobnostka w porównaniu ze złem, jakie powodowało spełnianie nielegalnych zarządzeń przez potulny, bojący się wyrażać swą opinię aparat wykonawczy. Sądy będą może rozpatrywać dużo spraw na tym tle i zapewne nieraz trzeba będzie ukarać urzędnika za niewykonanie słusznego rozkazu, lecz ogromnie wzrośnie w społeczeństwie poczucie bezpieczeństwa oraz odwaga cywilna urzędników, gdy przewidziane będą nie tylko kary za tolerowanie zła, lecz także nagrody za sparaliżowanie nielegalnych machinacji.

Nie ulega wątpliwości, że łatwiej sprzeciwić się władzy, gdy się jest niezależnym materialnie. To też i z tego względu gorąco pragnąć należy, by nowa Polska miała urzędników mniej, a za to lepiej płatnych. W masach niedostatecznie wynagradzanych (coprawda w porównaniu z chłopem i robotnikiem niezbyt biednych) urzędników, stale zadłużonych i zawsze niecierpliwie wyczekujących pierwszego — zły rząd znajdzie zawsze sporo potulnych wykonawców.

Oprócz zmniejszenia groźby utraty pracy wskazane byłoby również zabezpieczenie urzędnika przed szykanami, jakie mogą się przejawiać np. w formie przenoszenia go z miejsca na miejsce. Takie przeniesienia, czyniące z urzędnika nowoczesnego koczownika, są niepożądane także dlatego, że utrudniają mu założenie rodziny lub kształcenie dzieci i przeszkadzają w trwałym życiu się z jakimś ośrodkiem. To też pragmatyka urzędnicza powinna zawierać możliwości ograniczania przeniesień wbrew woli urzędnika, poza paru pierwszymi przeniesieniami w początkach służby.

Trzy zatem sposoby trzeba wziąć pod uwagę, gdy chodzi o

wolności obywatelskie: lepsze obwarowanie ich w konstytucji, wzmocnienie niezależności sądów i surowsze karanie współudziału w bezprawiaach. Niezależnie jednak od tego trzeba uchwalić taką konstytucję, by w demokratycznej Polsce szanse utworzenia niedemokratycznego, łamiącego prawo rządu były niewielkie.

Rząd powinien być silny, ale w tym celu nie trzeba uszczuplać praw jednostki. Rządowi mogą grozić poważne niebezpieczeństwa lub conajmniej kłopoty ze strony jakiejś partii, związku zawodowego, organizacji b.kombatantów, koncernu prasowego i dlatego rząd powinien mieć środki obrony przeciw tym siłom w postaci odpowiednich ustaw. Pojedyńczy obywatel jednak jest tak słaby w porównaniu z współczesnym państwem, iż byłoby wielką krzywdą nie zabezpieczyć go należycie przed bezpodstawnym trzymaniem w więzieniu, konfiskatą mienia, wysiedlaniem etc.

Rząd powinien szanować prawo i szerzyć kult prawa. Ale szacunek dla prawa zależy nie tylko od tego, czy jest ono legalnie uchwalone i sprawiedliwie wykonywane. Prawo dużo traci w oczach obywateli, gdy widzą oni, że ustawy zmieniają się raz po raz i że nie ma w nich należytej ciągłości. Każdy może sobie zadać pytanie: a czy też nowa ustawa nie zostanie obalona za parę miesięcy i czy nie będzie uznana za szkodliwą i głupią? To też jak najbardziej przestrzegać należy przed pospieszną a niedbałą robotą ustawodawczą. Mniej ustaw a dobrych!

Z tego punktu widzenia należy także rozpatrywać problem nowej konstytucji. W Anglii i Stanach Zjednoczonych zasadnicze ustawy ustrojowe obowiązują od bardzo dawnych czasów. Może częściowo na tym polega ich siła. Obywatele wiedzą, że to dzieło praocjów, że w oparciu o te ustawy budowały potęgę państwa liczne poprzednie pokolenia, że wielu zginęło w ich obronie, a nikt ich nie deptał i nie obalał.

My w niepodległej Polsce uchwaliliśmy konstytucję w r. 1921, potem — w r. 1935 przyszła znowu inna. Mielizbyśmy w r. 1944 czy później uchwalać trzecią, znów całkiem inną? Trzy konstytucje w ciągu ćwierćwiecza! Czy nie za dużo? Czy to nie będzie zachętą dla niektórych do przygotowywania jeszcze jednej, czwartej?

Trzeba usuwać to, co przestarzałe, co nie wytrzymało próby życia, trzeba zmieniać, dodawać i uzupełniać, ale nie burzyć wszystkiego aż do fundamentów i nie zaczynać wciąż od nowa. To też przy pracy nad ustrojem należałoby się oprzeć na konstytucji z marca 1921 r., z której zresztą niektóre paragrafy jeszcze obowiązują. Ta pierwsza konstytucja nie była dziełem doskonałym chociażby dlatego, że uchwalona została w pośpiechu (na 3 dni przed plebiscytem śląskim), a niektóre jej postanowienia powstały w drodze kompromisu. Bardzo szybko więc uznano konieczność naprawy i jeszcze przed rokosem majowym niektóre kluby sejmowe przygotowały projekty reformy. Teraz, po tylu doświadczeniach, widzimy potrzebę jeszcze innych zmian i poprawek. Zasadniczy jednak zrab naszego ustroju powinny stanowić postanowienia z r. 1921. Oparcie się na tej pierwszej konstytucji byłoby

też aktem hołdu dla prawa, tak haniebnie później znieważonego i aktem szacunku dla pracy poprzedniego pokolenia, w którym iluż było wybitnych i wielkich Polaków, dziś już nieżyjących! Mniemanie, że po strasznych ciosach, jakie spadły na naukę polską, na ogół naszej inteligencji, rozporządzamy zastępem ludzi daleko zdolniejszych i większych niż w r. 1918 i że wobec tego pracę tamtego pokolenia możemy zlekceważyć, mniemanie takie byłoby dowodem dużej pewności siebie, ale niczem więcej.

Narzekano przed r. 1926, że stronnictwa odgrywały w Polsce zbyt wielką rolę, a i teraz odzywają się nieśmiałe głosy za jak największym ograniczeniem wpływów politycznych w nowej Polsce na korzyść jeśli nie jakiejś "elity" ideowej, to fachowców gospodarczych. Nie zamierzając wychwalać istniejących partij politycznych, pragnę jednak stwierdzić, że uchylanie się od udziału w życiu politycznym jest zjawiskiem bardzo niezdrowym. Dawna Rzeczpospolita upadła między innymi dlatego, że bardzo wielu uczciwych domatorów nie brało żywszego udziału w pracy publicznej. W Polsce współczesnej również powodzenie niektórych demagogów i karierowiczów tłumaczy się w pewnej mierze tym, że na niektórych odcinkach zbyt mało było ludzi o wysokiej kulturze umysłowej i moralnej. Praca w stronnictwach, zwłaszcza po r. 1926, nie była popularna.

Gdy mówiłem komuś, że zaraz po uzyskaniu pełnoletności zapisałem się do Chrześcijańskiej Demokracji, spotykałem się z uwagą:

— A ja się w politykę nie bawię.

Nie bawię! Oto słowa, które dobrze charakteryzują stosunek wielu Polaków do polityki. Było to w ich oczach coś niepoważnego, rodzaj rozrywki, a raczej nie, gorzej jeszcze — coś ujemnego, o czym należało mówić z pewnym wstydem i zakłopotaniem.

Tymczasem polityka to nie zabawa i nie rozrywka. Nie gra i nie intryga, lecz przede wszystkim praca i walka. Tym trudniej jej podobać, im więcej ludzi zajmuje wygodną pozycję neutralnych. Przypatrują się — tak jak niektórzy w tej wojnie — walczącym i mówią:

— O co właściwie oni się tak strasznie kłócą? Nie mogliby się to pogodzić? A ile błędów popełniają! Jak niedołążnie walczą!

Gdyby ci wygodni krytycy wnieśli się do walki, byłaby ona szybciej rozstrzygnięta. Ale niektórzy z apolitycznych obywateli postępują gorzej niż neutralni podczas wojny. Przechodzą bowiem raz na tę, raz na inną stronę. Stąd te czasem nagłe a znaczne wahania opinii publicznej i zmiany kierunku rządzenia.

Inny musi być stosunek obywatela do polityki. Państwo nasze nie jest i nie powinno być monarchią, nie będzie też domeną jakiejś klikki lub jednej klasy. Cały naród musi się poczuwać do odpowiedzialności za Polskę. Formy wpływania na losy kraju mogą być naturalnie rozmaite, a współczesne stronnictwa nie są ideałem. W każdym razie nie zalecamy apolityczności!

Gdy o stronnictwach mowa, warto jeszcze podkreślić, że od

czasów pierwszej wojny światowej bardzo rozpowszechniły się umundurowane formacje partyjne.

Naogół było to w każdym kraju oznaką zaostrzania się walk politycznych. Gdy jakiś obóz zaczyna swych zwolenników ubierać w czarne, czerwone czy jasne koszule, gdy ich szkoli wojskowo, a przynajmniej zaprawia do szybkich koncentracji, marszów i walk ulicznych, z tą chwilą staje się jasne, iż nie uważa kartki wyborczej za wyłączną i najlepszą broń w walce o władzę. Im więcej takich formacyj partyjnych, tym więcej bójek politycznych, tym więcej guzów a czasem i trupów na wiecach.

Tego rodzaju ewolucja życia politycznego jest naturalnie dla państwa niepożądana a nawet groźna. Nie jest dobrze, gdy obok policji państwowej powstaje żandarmeria partyjna, która — jak się to okazało w Niemczech i Włoszech — po zwycięstwie partii istotnie przejmuje część zadań policji, nie jest pożądane, aby powstawały partyjne organizacje byłych kombatanów. Leży w interesie państwa, każdego państwa, by na jego terytorium nie organizowała się żadna siła zdolna przemocą, wbrew prawu, zagarnąć władzę.

Z drugiej znów strony pragniemy, by stronnictw było mało, a w takim razie będą one silne, pozatym zaś rozumiemy, że nie można obywatelom zabraniać noszenia jakich chcą koszul, odznak, urzędzenia pochodów, śpiewania hymnów partyjnych etc.

Jeśli w powojennej Polsce szerzony będzie kult prawa, jeśli wniesione zostaną mocne bariery przeciw próbom zagarniania władzy gwałtem, to bojówki partyjne znajdą zapewne grunt mniej podatny. Nie ulega bowiem wątpliwości, że w Polsce przedwojennej do "ubojowienia," jeśli się tak można wyrazić, niektórych ruchów politycznych, niemało przyczyniła się ta okoliczność, że w maju 1926 r. władza została zdobyta siłą, wybory nie były przeprowadzane bezstronnie, a sądy w sprawach politycznych też nie stały na wysokości zadania, jak wykazały procesy więźniów brzeskich, Doboszyńskiego, Cywińskiego etc.

Ale gdyby nawet nie było niebezpieczeństwa przewrotów, to i w tym wypadku stare stronnictwa, muszą się dostosować do nowych warunków. Nie mają bowiem równych szans dwa obozy, z których jeden możnaby porównać z pospolitym ruszeniem, a drugi z armią regularną.

Mamy bowiem jeszcze stronnictwa, których statuty harmonizują nieźle z pojęciami i obyczajami politycznymi z przed r 1914. Jest liczny zarząd, jest rada naczelna, mająca się zbierać dwa lub "aż" trzy razy na rok, jest mnóstwo komitetów, hamujących wszelką śmielszą inicjatywę, jest dużo oddziałów lokalnych, odpowiadających na pytania centrali po kilku tygodniach, są członkowie, którzy sądzą, że zrobili dużo, jeśli 3-4 razy w roku pofatygowali się na wiec, zapłacili drobną składkę i ewentualnie zaprenumerowali partyjny tygodniczek, bo na codzień kupują jakiś bezbarwny brukowiec.

Po drugiej stronie — jakże odmienny obraz. Na czele ruchu nominalnie też stoi jakiś zarząd, czy komitet, ale w gruncie rzeczy decyduje jeden człowiek. Wódz. Zasięga rady innych, ale sam

wydaje rozkazy. Koło siebie ma sztab oficerów partyjnych, którzy bez zbędnej gadaniny wykonywują polecenia. Jada, gdzie potrzeba, przywożą raporty, punktualnie stawiają się na odprawy. Są gotowi w każdej chwili, dniami i nocą. Dalej jest masa podoficerów i szeregowców partyjnych. Ci też, podzieleni na piątki lub dziesiątki, mogą być zmobilizowani w ciągu kilkunastu godzin. Czasu dla stronnictwa nie żałują, a jeśli są młodymi, mają go istotnie dość dużo. Gotowi godzinami maszerować i demonstrować, rozlepiać afisze, rozdawać ulotki. Karmią się tylko prasą partyjną, codziennie zaglądają do partyjnego lokalu, noszą odznaki lub mundury, salutują zwierzchników. Czyż to nie armia regularna?

Otóż tak jak wojska regularne zwyciężały nad pospolitym ruszeniem, tak też we współczesnej Europie karne, dobrze wyćwiczone formacje partyjne (zazwyczaj antydemokratyczne) zwyciężały nad dużymi, ale ociążalnymi i ślamazarnymi masami starych stronnictw z epoki liberalizmu. Chyba, że różnica sił była zbyt wielka. A zwyciężały nie dlatego, by miały lepszy program i zdolniejszych ludzi, lecz poprostu dlatego, że były lepiej zorganizowane.

Nie zamierzam, broń Boże, doradzać, by stronnictwa polskie, przyjęły system "wodzowski" Chodzi tylko o to, że w walce z prądami totalistycznymi każde stronnictwo demokratyczne musi rozporządzać sprężystym aparatem wykonawczym i od członków żądać musi więcej wysiłku niż bywało dotychczas.

To nie dość jednak pragnąć, by państwo obroniło swój dotychczasowy autorytet i odparło ataki ruchów antydemokratycznych. Należy sobie życzyć, by pogłębiły się uczucia obywateli w stosunku do państwa.

Z długiego okresu niewoli wynieśliśmy niechętnie, lub wręcz wrogie nastawienie do państwa, bo państwo nas wynaradawiało lub w inny sposób krzywdziło. To nastawienie uległo w wolnej Polsce szybkiej zmianie. Zrozumieliśmy, że trzeba nie tylko płacić podatki, ale i podpisywać pożyczki państwowe, jak to było w latach 1919-24. Byliśmy na najlepszej drodze do tego, by państwo stało się dla Polaka pojęciem równie drogim jak naród. Lata późniejsze, gdy nie wszyscy Polacy byli przez władze jednakowo traktowani ze względów politycznych i gdy — w okresie kryzysu gospodarczego — państwo ze względów finansowych nie dotrzymywało niektórych zobowiązań lub zmieniało je na niekorzyść obywateli (np. inwalidów, emerytów), lata te pozostawiły pewien osad rozgoryczenia i rozżalenia. Jednakże naogół biorąc masy odróżniały rządzących od Polski i gdy przyszła wojna, wykazały gorący, ofiarny patriotyzm. Ale czy po tej wojnie stosunek przeciętnego obywatela do władz państwowych będzie taki jak w Anglii? Niestety nie, na to trzeba będzie czekać, jeszcze długie lata. Przeciętny bywał ma skłonność do zajmowania wobec państwa stanowiska nieufnego, obronnego, bo zresztą i władze są dość podejrzliwe. Gdy np. chodzi o zeznania podatkowe, urzędy skarbowe z reguły nie dają im wiary, a przyznać należy, że nie czynią tego bez powodu. Ale i przy różnych innych okazjach

sytuacja wytwarza się taka, że właściwie obywatel musi udowadniać, że postępuje uczciwie i że należy mu wierzyć. W Anglii natomiast urząd z zasady wierzy obywatelowi i bez ważnych przyczyn nie żąda dowodów uczciwości.

Mniejsza o to, kto w Polsce więcej zawinił: urzędnicy czy obywatele (zwłaszcza narodowości niepolskiej). Rzecz w tym, by wychować typ obywatela, który nie z obawy kary, lecz z wewnętrznego przekonania będzie wykonywał zarządzenia władz, będzie szanował majątek państwowy i będzie pomagał władzom państwowym w spełnianiu wszystkich obowiązków, nie wyłączając łepienia przestępstw podatkowych lub innych.

W Anglii nieraz się zdarza, że obywatel w testamencie zapisuje państwu jakąś sumę i to bez żadnych zastrzeżeń co do użycia jej, poprostu do rozporządzenia ministra skarbu. Polak potrafi być hojny, gdy państwo jest w niebezpieczeństwie. W normalnych jednak, pokojowych czasach robi legaty, ale dla instytucyj religijnych lub narodowych, ale nie dla skarbu państwa.

W Anglii poszanowanie prawa jest tak zakorzenione, iż policjanci wykonywują swe funkcje bez broni. W Polsce policja była uzbrojona i to nie tylko do walk z występnyimi jednostkami, lecz także z tłumami.

Dałoby się wyliczyć jeszcze dużo innych różnic. Stosunek obywatela do państwa pozostawia u nas jeszcze bardzo dużo do życzenia i aby się zbliżyć do angielskiego wzoru, trzeba podjąć gruntowną a systematyczną akcję wychowawczą.

XIV WYCHOWANIE

Najważniejszym terenem akcji wychowawczej pozostanie niewątpliwie szkoła. Przy pełnym urzeczywistnieniu zasady obowiązku szkolnego liczba młodzieży w szkołach powinna przekroczyć 6 milionów.

Budżet Min.WR.i OP. był drugim z rzędu co do wysokości wydatków (po Min. Spraw Wojskowych), ale był wciąż niewystarczający. Po wojnie należałoby zapewnić mu jeszcze pocześniejsze miejsce w budżecie ogólnym, gdyż państwo musi budować jeszcze tysiące szkół.

Nie należy jednak dążyć do zmonopolizowania szkolnictwa. Rodzice mają większe prawo decydowania o wychowaniu swych dzieci niż rząd, a wobec tego jeśli pragną posyłać dzieci do szkół prywatnych, nie można im przeszkadzać. Szkoły prywatne powinny uczyć pod kontrolą władz, ale też powinny korzystać z pomocy finansowej.

Szkolnictwo państwowe jest zazwyczaj mniej elastyczne, mniej nadaje się do przeprowadzenia twórczych prób, w silniejszym stopniu ulega dążeniom do ujednostajnienia i centralizacji niż szkolnictwo prywatne. Istnienie szkolnictwa prywatnego umożliwia też społeczeństwu częściowe przynajmniej naprawianie błędów popełnianych przez ministrów.

Dotychczas przewaga szkół państwowych nad prywatnymi była przyniatająca. Np. w roku szkolnym 1938/39 do państwowych szkół powszechnych uczęszczało 4797 tysięcy dzieci, do prywatnych tylko 159 tysięcy.

Prawdziwą plagą naszego szkolnictwa były zmiany programów i podręczników. A nie był to wynik szybkich postępów naszej myśli pedagogicznej, jeno częstych zmian ministrów. Niektóre "reformy" spowodowały w rzeczywistości obniżenie poziomu szkolnictwa i oczywiście powinny być cofnięte. Byłoby rzeczą pożądaną, by o kierunkach reform nie mógł w przyszłości decydować samowolnie minister oświaty, bez zasięgnięcia opinii świata pedagogicznego i aby zmiany nie były wprowadzane odrazu na całym obszarze Polski bez dokonywania prób na jakimś wąskim odcinku.

Wydaje się, że w szkołach trzeba będzie nadal kłaść silny nacisk na książkę. Sport, roboty fizyczne, przysposobienie wojskowe te wszystko ma istotnie duże znaczenie, jednakże fizyczny rozwój młodzieży zależy głównie od odżywienia, a ono się nie polepszy, póki nie dźwigniemy poziomu życiowego szerokich mas. Intelktualny zaś poziom młodzieży jest rzeczą bardzo ważną. Profesorowie szkół wyższych przeważnie narzekali, że z gimnazjów wychodzi młodzież coraz gorzej przygotowana do studiów.

Szkola kształci charaktery. Z tego względu trzeba pragnąć jak najstaranniejszego kształcenia i wychowania nauczycielstwa. Należy przyznać, że w Polsce pracowało ono w warunkach bardzo trudnych i wkładało w pracę dużo wysiłku i poświęcenia. Szkoda wielka, że spory odłam ulegał wpływom ludzi, którzy do ideologii swej czerpali bodaj najwięcej ze wzorów francuskich. A we Francji nauczycielstwo głosiło program będący mieszaniną ateizmu, swoistego radykalizmu gospodarczego i antypatriotycznego pacyfizmu.

Jeśli szkoła ma się poważnie przyczynić do gospodarczego rozwoju Polski, to powinna w uczniach budzić chęć samodzielnej pracy, o własnych siłach, a przeciwdziałać niebezpiecznemu pędowi do obsadzania posad urzędniczych. Jeśli potęgi gospodarczej nie zbudują inżynierowie, kupcy, przemysłowcy, to w każdym razie nie zbudują jej urzędnicy. Maszyna biurokratyczna ma między innymi tę cechę że utrudnia rozwój wielu talentów i conajmniej nie sprzyja wychowaniu ludzi przedsiębiorczych, energicznych, śmiałych. Nie odnosi się to naturalnie do wszystkich działów pracy państwowej. Bezspornie jednak liczne są biura, w których urzędnik rok za rokiem ma do czynienia z tymi samymi papierkami i zawsze jednakowo spełnia instrukcję a decyzję i odpowiedzialność pozostawia szefom.

Na terenach narodowościowo-mieszanych najwyraźniej uwidatniają się skutki skłonności do "zurzędniczenia" inteligencji. Np. w Małopolsce Wschodniej młodzież ukraińska z konieczności brała się do pracy w różnych "Masłosojuzach" i dzięki temu Ukraińcy robili postępy na polu gospodarczym, podobnie jak pół

wieku temu Polacy w Wielkopolsce. Wyda się to twierdzeniem paradoksalnym, a jednak jest prawdą, że byłoby może lepiej, gdyby Ukraińcy zajmowali się np. wypisywaniem receptisów pocztowych, natomiast młodzież polska w większym stopniu rwała się do handlu i przemysłu.

Wzrost liczby urzędników daje się zaobserwować we wszystkich państwach. W Niemczech w latach 1925–39 liczba urzędników i funkcjonariuszy wzrosła o 17%, natomiast zmalał procent rolników. Urzędnicy stanowili już więcej niż 5% ogółu zawodowo czynnych.

W Polsce również liczba zatrudnionych w biurach publicznych (państwowych, samorządowych, ubezpieczeniowych etc.) stale wzrastała, przytym należy pamiętać, że kraj był stosunkowo ubogi i słabo uprzemysłowiony. To nie jest to samo, czy na jednego urzędnika wypada 10 robotników przemysłowych, czy też 4 lub 5.

Tak więc przeciwdziałanie "zurzędniczeniu" społeczeństwa powinno być jednym z nie ostatnich zadań szkoły. Powinna ona szerzyć szacunek dla pracy fizycznej, na roli i w fabryce. Nie trzeba też chyba rozwodzić się nad tym, że szkoła powinna rozwijać w młodzieży szlachetne pierwiastki, wyrabiać odwagę cywilną etc.

Bardzo ostrożnym trzeba być natomiast, gdy chodzi o zapoznanie młodzieży z życiem społeczno-politycznym. W niektórych krajach demokratycznych wprowadzono wprawdzie nawet lekturę gazet podczas godzin szkolnych, jednakże naogół biorąc w tych krajach przeciwności polityczne były znacznie mniejsze, a co za tym idzie, ton prasy spokojniejszy i niebezpieczeństwo urażenia uczuć dzieci znacznie mniejsze. U nas zanosi się na dość zacięte walki polityczne (choć mam nadzieję, że rozgrywane będą w ramach prawa), a ilość ludzi, mogących ze znanstwem i taktem omawiać skomplikowane zagadnienia polityczne nie jest szczególnie duża. To też należy przeciwstawiać się ewentualnym próbom agitacji politycznej wśród młodzieży szkół średnich.

Co do młodzieży uniwersyteckiej, to tu zakazy ani nie byłyby skuteczne ani pożądane. Okres studiów uniwersyteckich jest właśnie tym okresem, w którym można i należy dobrze się przygotować do życia politycznego. Istotnie też z organizacyj akademickich wyszło wielu wybitnych przywódców polskich ruchów politycznych.

Wyrządziłby jednak dużo szkody ten, kto by schlebiał młodzieży i wzbijał ją w dumę. Młodzież w Polsce niewątpliwie odegra dużą rolę już choćby ze względu na swą siłę liczebną i kraj nasz zapewne nie będzie rządzony przez starców, jak to bywało np. we Francji. Ale młodzi muszą uzyskiwać kierownicze stanowiska dzięki swym zaletom i pracy, a nie dzięki temu, że są młodzi. Pogląd, że ten, kto ma lat 25 lub 30 w każdym razie lepiej nadaje się do sprawowania władzy, niż człowiek 50 letni, że powinna nastąpić jakaś "czystka" celem gruntownego odmłodzenia urzędów, pogląd taki nie da się obronić.

Trudno coprawda nie zauważyć, że w chwili obecnej tu, na

wychodźtwie, młodsze pokolenie nie jest silnie reprezentowane w kołach decydujących. Na wielu ważnych stanowiskach widzimy ludzi niemłodych, którzy już przed dwudziestu laty piastowali wysokie godności. Byli ministrami, dowódcami armii, prezesami klubów sejmowych i t.d.

Reprezentują oni skarb wielki, mianowicie doświadczenie, ale można się spierać co do tego, czy czasem nie brakuje im należytej energii i szybkości w działaniu. Należy sobie życzyć, by stopniowo na odpowiedzialne stanowiska powoływano coraz więcej jednostek młodszych, z drugiej strony wszakże analiza poglądów młodego pokolenia uprawnia do wypowiedzenia uwagi, że ci młodzi, bardzo młodzi powinni się jeszcze dużo uczyć. Wtedy krytyka, jaką dyktuje im ich niewątpliwie szczery i ofiarny patriotyzm, będzie bardziej przemyślana i twórcza.

Okres, kiedy z rąk polityków, którzy swe poglądy ukształtowali jeszcze przed rokiem 1914, władza przejdzie w ręce ludzi wychowanych w Polsce niepodległej, nie może być bardzo daleki, a byłoby dobrze, gdyby nie spowodował żadnych wstrząsów politycznych.

Wojsko jest również terenem wychowywania młodzieży, nie tak ważnym i rozległym, jak szkoła, ale też nie bagatelnym. Wojsko musi oczywiście trzymać się zdala od polityki. Okres rządzenia krajem przez wojskowych zakończył się fatalnie i nie może się powtórzyć. Służba wojskowa nie trwa długo i dlatego nakaz powstrzymywania się od polityki w tym okresie nie może być nazywany nieznośnym ciężarem. Zawodowi zaś wojskowi doprawdy zawsze będą mieli aż nazbyt wiele roboty z doskonaleniem się w sztuce wojennej, która wciąż się rozwija. Im bardziej wojna staje się totalnym wysiłkiem całych narodów, im bardziej jej wyniki zależą od umiejętności mobilizowania sił gospodarczych i duchowych, tym więcej musi umieć każdy oficer. Ale i tak zwany szary obywatel nie może być w tych sprawach ignorantem. Popularyzacja wiedzy wojskowej jest koniecznością. Musi to być naturalnie rzetelna wiedza, a nie frazesy propagandowe, przy czym nie będzie można uchylić się od analizy zaniedbań i błędów popełnionych przed rokiem 1939. Wszystkie zasługi bojowe z obecnej wojny powinna Polska z wdzięcznością nagrodzić, lecz winowajcy względnie ludzie bezczynni niechże nie próbują stroić się w laury, które należeć się będą bohaterom. Stosunek społeczeństwa do armii powinien być serdeczny, lecz nie bezkrytyczny. Szkodliwa byłaby zbyt duża pobłażliwość w imię tego, że to przecież wojsko albo że "tajemnica" wojskowa.

Naród powinien gruntownie kontrolować, jak są zużywane pieniądze, przeznaczone na obronę Polski i jaki jest duch w wojsku, jaki jest stosunek oficera do szeregowca i t.d.

Propaganda wojskowa powinna często stawiać przed oczyma żołnierzy piękne wzory z czasów Zamojskiego, Żółkiewskiego, Czarnieckiego, Nawiasem mówiąc nieźle byłoby wskrzesić tytuł hetmana, który przecież bardziej zrósł się z naszą tradycją wojskową,

niż tytuł marszałka. Ale w historii wojskowej dawnej Rzeczypospolitej trzeba wyszukiwać przedewszystkim nie tytuły, lecz przykłady wytrwałej i ofiarnej służby bez ubiegania się o pochwały i nagrody.

Wogóle w całym naszym wychowaniu narodowym trzeba mocno podkreślać obowiązek służenia Ojczyźnie. Należy usilnie dążyć do tego, by wszelka praca dla Polski była odpowiednio oceniana i wynagradzana, lecz to przecież nie może być zasadniczy warunek. Trzeba wpajać w umysły Polaków obowiązek stałej, wyteźzonej, a ohotnej pracy dla Ojczyzny, w której ustawać nie wolno, nawet gdyby ta praca odpłacana była czarną niewdzięcznością. Nie zawadzi też przypominać, że od nagród materialnych cenniejszą i trwalszą jest sława, ale droga do niej nie koniecznie prowadzi przez intensywną reklamę osobistą.

Krótko mówiąc trzeba więcej idealizmu w pracy publicznej, a dobrze jest, gdy przykład idzie z góry. Kto ma w innych wpoić obowiązek ofiarnej pracy dla Polski, musi sam płonąć szlachetnym entuzjazmem.

Zakorzeniły się w naszym stuleciu inne pojęcia i wyszukano mnóstwo argumentów dla usprawiedliwienia wygodniejszej i łatwiejszej postawy wobec własnego narodu. Mówi się (zresztą w większym stopniu w obcych krajach niż w Polsce), że właściwie na wszystko środki znaleźć się powinny, że to nic złego ubijać się o podwyżki pensji, większe dodatki reprezentacyjne lub diety i komfortowe warunki podróży, że to się należy, że z cyfr tak wynika, że i dla innych starczy. Padają uczzone argumenty, sypią się przekonujące cyfry. A jednak mimo tych wszystkich obliczeń faktem jest niezbitym, że każdy naród to, że dźwiga się z upadku lub szybko kroczy po stopniach kultury, w niemałym stopniu zawdzięcza tym, którzy robią więcej niż się od nich wymaga. Są w każdym kraju — a przede wszystkim obecnie w cierpiącej Polsce — ludzie, co z całą świadomością obierają drogę trudniejszą, cierniową, narażając swe życie dla dobra innych. Są zawsze tacy, co robią ponad normę. Ci skromni, cisi pracownicy, czasem na zawsze nieznani bohaterowie, są w każdej warstwie i w każdym zawodzie. Poświęcają się dla innych. Dla swych krewnych, dla współtowarzyszy pracy, dla młodzieży, dla biednych lub chorych, dla całego wreszcie narodu. Z ich cierpień i mozołu powstaje wielki kapitał, jeśli nie materialny, to moralny, z którego korzystają inni. Tak też jest obecnie. Z tragicznych cierpień okupowanej Polski, z dobrowolnej, męczeńskiej ofiary tych, co obrali śmierć, by inni mogli żyć, z potoków krwi i łez powstaje ów kapitał duchowy, z którego korzystają przede wszystkim uchodźcy. Jakże wielu nie widzi, że nie należy go trwonić, lecz powiększać trzeba!

Zaciągamy dług. Moglibyśmy i powinniśmy splacać go już teraz, moglibyśmy żyć i pracować tutaj bardziej odpowiednio do postawy prześladowanych i głodnych braci w Polsce. Obyśmy przynajmniej po wojnie nadrabiali zaniedbania! Oby groby rozstrzelanych były dla nas jeśli nie palącym wyrzutem sumienia,

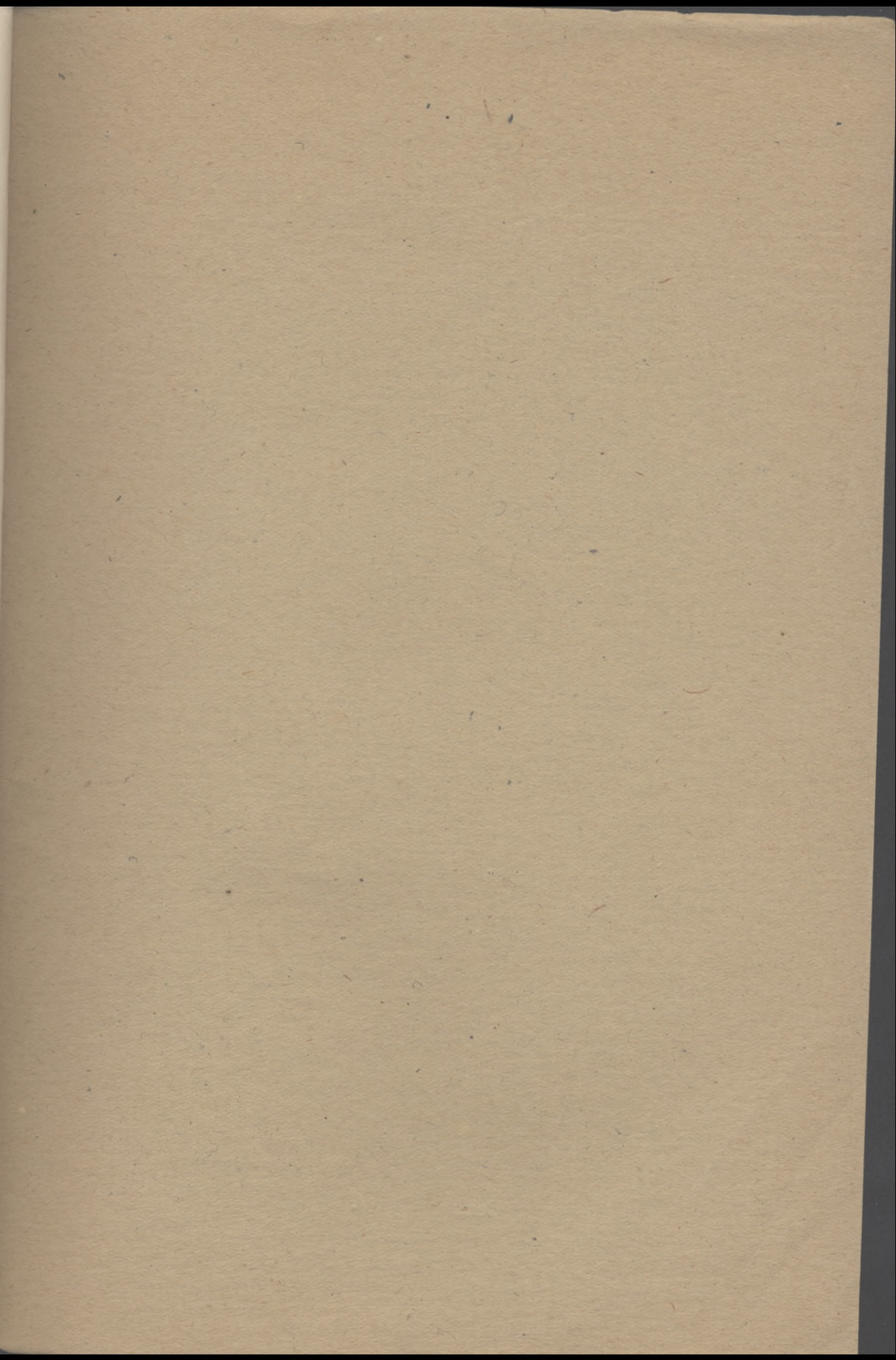
to w każdym razie pobudką do znacznie intensywniejszej i ofiarnej-
szej pracy dla Polski.

Są tacy, co będą mogli wrócić z czystym sumieniem i z podnie-
sionym czołem.

Ale od wszystkich trzeba żądać stanowczo, by obowiązek swój
wypełnili jak najlepiej. Nie o to chodzi, by z Anglii wrócili bogatsi
niż przybyli, lecz o to, by wrócili lepsi, szlachetniejsi, mocno
zdecydowani całe swe życie zbiorowe dostosowywać do nakazów
etyki chrześcijańskiej, jasno widzący ideę przewodnią powojennej
Polski. A tą ideą powinna być obrona prawa i pokoju w całym
świecie, szukanie nowych form współżycia narodów, przodowanie w
rozwiązywaniu zagadnień socjalnych, obrona chrześcijaństwa
i cywilizacji chrześcijańskiej przed atakami już to neopogaństwa już
to bezbożnictwa.

Wychowanie narodowe oto klucz do lepszej przyszłości. Nie
mylił się Mickiewicz, gdy mówił, że im bardziej polepszyście dusze
wasze, tym bardziej rozszerzycie granice wasze. Wychowanie,
zwłaszcza wychowanie młodego pokolenia, jest zagadnieniem
fundamentalnym, rozstrzygającym o sile lub słabości Polski.
Trzeba wygrać wojnę i pokój, ale trzeba też zwyciężyć nad własnymi
wadami i nałogami. Więcej zgody, nauki, pracy, ofiarności — oto
czego najbardziej potrzeba zarówno teraz, na tułaczce, jak i po
wojnie w wolnej Polsce.

KONIEC.



Arch. Emigracji
Biblioteka

Główna
UMK Toruń

1380475

Biblioteka Główna UMK



300020873060

Cena - 2/-.